ALBERTINUM

CZASOPISMO POŚWIĘCONE KULTURZE CZYTELNICTWA

WYDAWNICTWO KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA

NR 3 MAJ - CZERWIEC ROK I

BIBLIOTERAPIA

Przybył nam z Francji za pośrednictwem prof. Waltera*) nowy termin: biblioterapia. Książka znalazła swe miejsce i nazwę w systematyce leczniczej.

Jakże daleko odbiegliśmy od ustalonych pojęć o lekach. Czyżby odtąd i książka, jak każdy lek uznany i stosowany według wymogów nauki, mogła być świadomie dobierana i celowo „dawkowana" w określonych cierpieniach?

Aby zrozumieć rolę książki w lecznictwie, nie szukajmy zbyt ścisłych analogij do leków od dawna nam znanych. W postępie nauk i medycyna wyrwała się z kręgu ściśle materialistycznych pojęć, stare teorie okazały się zbyt ubogie dla wyjaśnienia zagadki życia i cierpienia. Coraz większe zrozumienie przeżyć psychicznych chorego i zadziwiający niekiedy ich wpływ na stan zdrowia fizyczny otwarły przed medycyną horyzont tak rozległy, jak rozległe jest wzajemne oddziaływanie na siebie człowieka i środowiska. Widzimy, jak medycyna krok za krokiem zatrzymuje się nad elementami tego oddziaływania, analizuje je, systematyzuje i włącza do arsenału swych metod leczniczych.

Biblioterapia jest częścią psychoterapii. W pewnym stopniu wszyscy się nią posługujemy, dobierając sobie książki według treści odpowiednio do wieku, nastroju. Kierujemy się odczuwaną potrzebą, szukamy bezwiednie pomocy w przystosowaniu się do wymogów życia.

Chory szuka pomocy w jeszcze wyższym stopniu i dlatego książka jest od dawna wiernym jego przyjacielem. W długotrwałych zwłaszcza chorobach bawi go przyjemnie, odwraca myśl od cierpień i odrywa od ciągłych rozmyślań, od przerabiania psychicznego — zwykle w niepożądanym kierunku — przeżyć; unieruchomionego chorego przenosi w świat żywy, ruchliwy, czynny, często ileż piękniejszy niż ten, który go otacza i który znał dotąd, ileż mocniejszy,

*) Franciszek Walter, prof. U. J., „Biblioterapia", Czas z 24. VII. 1938.

godny życia i wysiłku; i chory czytając chce żyć, budzi się wola, urzeczywistnia najwyższy cel wszelkiej psychoterapii.

Każdy z nas to przeżył, każdy wie, że to prawda — dzięki dobrej książce.

Dać, „zapisać" dobrą książkę, odpowiednią dla tego właśnie, nie innego chorego — to cel biblioterapii, „nie ma bowiem chorób, są tylko chorzy" — że przytoczę określenie, w skrajności swej trafnie oddające mądre stosowanie wszelkich leków.

Każdy większy szpital ma bibliotekę, lecz jakże niedostatecznie korzysta się z pomocy książki, tego dobrego sprzymierzeńca lekarza! Przypadkowy dobór, ambicja zakupienia możliwie największej ilości jakich bądź książek (pozycja budżetowa jest niesłychanie niska!), brak bibliotekarza i dostatecznej ilości katalogów, przesyłanie książek na oddziały chorych partiami, wyjętymi w pośpiechu „na oko" — to ciężkie grzechy przeciw zdrowiu, które, obyśmy się doczekali, uznane zostaną za błędy sztuki lekarskiej.

W niektórych szpitalach już się dobrze dzieje, np. w sanatorium dla dzieci gruźliczych Uniwersytetu Jagiellońskiego, jak w Szwajcarii, kierownictwo nie tylko dba o właściwy dobór książek, lecz kształci także młodzież w zakresie szkół powszechnych i średnich i tam, jak pisze prof. Walter, niejeden abiturient złożył swój egzamin dojrzałości przed państwową komisją, która do jego łóżka przybyła.

Także u dorosłych odpowiednio pokierowana lektura wzbudzi zamiłowanie do książki dobrej, uszlachetniającej, rozwijającej dobre strony charakteru, pobudzi do samokształcenia, uzupełniania wiedzy.

Nie ustając w walce z cierpieniem, szpital z pomocą książki staje się źródłem pełnego życia.

Potrzeby książki dla chorych fizycznie nie trzeba więc dowodzić. Mniej znane jest znaczenie książki w zapobieganiu i leczeniu niedomagań psychicznych, a wśród nich zwłaszcza najbardziej dziś rozpowszechnionej nerwicy, prawdziwej choroby społecznej, którą nieraz wyzwala choroba fizyczna. Nerwica jest wyrazem konfliktu sprzecznych tendencyj życiowych, nieuświadomionych a jednak bardzo aktywnych, jest rodzajem zaburzenia stosunku jednostki do społeczeństwa, nieudanym rozwiązaniem tego stosunku*).

Leczenie polega na uspołecznieniu chorego na drodze tej lub innej psychoterapii, w której rola pomocnicza lektury jest znaczna, niekiedy wręcz lecznicza.

Książka ma łatwiejszy dostęp do chorego niż lekarz, który budzi w chorym nieraz opór, niechęć; rozmowę z książką chory może przerwać każdej chwili i każdej chwili ją podjąć; to przyjaciel, który nie kontroluje wstydliwych wzruszeń przy uderzeniu w czułą strunę. Książka w każdym razie może przysposobić, ułatwić lekarzowi dostęp do zbola-

---

*) Prof. Dr Stefan Borowiecki „Stosunek jednostki do otoczenia w nerwicach", Rocznik Psychiatryczny 1932 r.

łych zakamarków duszy, niejedno uświadomić, obudzić i wzmocnić uczucia, na których następnie odbuduje się porządek.

Już usiłowano trafić do chorego książką pisaną świadomie w tym celu, że wspomnę tu „Listy do matki" wiedeńskiego psychoanalityka Stekla i całą powódź literatury zapłodnionej teorią Freuda. Koncepcje jednostronne tej teorii, w ujęciu literackim jeszcze uproszczone, więcej zdziałały złego niż dobrego, zamykając jednostkę w ramach interesu indywidualnego i odpychając ją od społeczności.

Nauka o nerwicach domaga się leczenia przez sublimowanie, uszlachetnianie uczuć i wzmacnianie więzów społecznych, z których najważniejsze są więzy religijne, narodowe, rodzinne. Dla biblioterapii użyteczne mogą być zatem tylko dzieła mające określone miejsce w świecie naszej kultury, nieobce naszej konstrukcji psychicznej.

Wartość książki nie zależy oczywiście od tematu, jak podkreśliła już na tych łamach Zofia Kossak. Dla naszych celów przydatniejsze z pewnością jest to dzieło, które formą łagodną i jasną treścią zdoła przybliżyć chorego do społeczeństwa i odnowić łączące go z nim więzy.

Godne uwagi jest też wybitne znaczenie lektury dla higieny psychicznej. Obcowanie zwłaszcza z wielką literaturą uspokaja, sprowadza przeżywane wydarzenia do właściwych rozmiarów, harmonizuje uczucia, poddając je władzy celów wielkich, nieprzemijających. Nieobojętną jest tu rola wysiłku umysłowego, który, jak każda praca, koordynuje w najbardziej harmonijny sposób wszystkie władze psychiczne i daje głębokie zadowolenie.

Biblioterapia ukazuje pisarzom zadania i cele, choć już znane dawniej, lecz obecnie lepiej uświadomione. We Francji istnieje stowarzyszenie lektury sanatoryjnej pod opieką ministrów wychowania narodowego i zdrowia publicznego, uniwersytetów, bibliotek i wybitnych pisarzy.

Także u nas biblioterapia winna znaleźć realizatorów w świecie książki i medycyny, jej cel jest tak piękny i doniosły, że godzien jest urzeczywistnienia.

Dr med. Z. Jaroszewski

Dzielimy się z Czytelnikami miłą wiadomością, że Polska Akademia Umiejętności w Krakowie przyznała nagrodę im. Ks. Adama Jakubowskiego panu dr Ludwikowi Posadzemu z Poznania za dzieło „Poglądy pedagogiczne Adama Mickiewicza", wydane w roku ubiegłym przez Księgarnię Św. Wojciecha.



LICAMI KU WIELKOPOLSCE

Motto: Bezpieczny bądź Poznaniu,
Czyściec wieże stoją.
Stróże stojąc nad nimi
Najmniey sie nie boią,
Orzeł wysoko lata, Piotr i Paweł w niebie
Bóg, Święci, Król, Twa Cnota
bronią zawżdy ciebie...

Tak to ksiądz Jakób Wuyek z Wągrowca, theolog Societatis Jesu, author wielu xionk uczonych, Starego y Nowego Testamentu tłumacz nieśmiertelny, uspokajał w swej „Postylli Mnieyszej" (w 1580-tym roku Pańskim drukowanej) rodaków bliższych i dalszych zachęcając niejako, aby nawiedzali gród Przemysławny, skoro i stróże na wieżach i murach czuwają i baczą, a Pan Bóg, Święci Piotr i Paweł na miasto... cnotliwe z niebios z obłoków patrzą i w razie czego zawżdy obronią.

Toteż kiedy jak kiedy, ale w tym roku, w tym lecie, w tym sezonie cały ruch turystyczny i krajoznawczy i odpoczynkowo-letniskowy z całego państwa powinien być nakierowany na Pomorze i na Wielkopolskę. Na pobrzeżu bałtyckim jedna piędź ziemi nie może zostać wolną i niezamieszkałą przez familie z „przedplecza". *Camping.* Namioty. Muszą widzieć i przekonać się naocznie, że tego przybrzeżku dla nas jest jednak stanowczo za mało.

To samo z jeziorami wielkopolskimi. Lato będzie najprawdopodobniej gorące, miejscami bardzo gorące. Na wybuch skwaru i upału najlepsze remedium pobyt nad jeziorami. Gdzież w Polsce piękniejsze i gdzież ich więcej jak w tej dzielnicy? Przewidział to szczęśliwie Związek Popierania Turystyki w Poznaniu i rozwinął wreszcie niezwykle energiczną i dynamiczną akcję z tym celem, żeby właśnie

w tym roku zwabić i przynęcić nad Wartę i nad Noteć, nad Lutynię, nad Samicę, nad Wełnę tysiące i krocie inteligencji polskiej. Prawdopodobnie już dziś po wszystkich hotelach, po wszystkich dworcach kolejowych i lotniczych w Polsce wiszą wyjątkowo piękne, artystyczne afisze z perłami krajobrazu wielkopolskiego, z tysiącem jezior, stawów, ratuszów, kościółków, rezerwatów leśnych, dębów z Rogalina, kasztanów ze Swadzimia, z windsorskim Kórnikiem, z gołuchowskim Balmoralem. Pono nawet któregoś z najmłodszych poetów uproszono i uzaliczkowano, aby napisał w skróconym terminie, a zawrotnym tempie, ściśle w stylu Polowym (Wincentego Pola) „Pieśń o ziemi naszej".

A czy znasz ty, bracie młody?

Dobrze, bardzo dobrze się stało, że wreszcie zintensywniono i naelektryzowano akcję w tym kierunku. Nie jest to co prawda za wcześnie, ale nie jest i za późno, a w każdym razie w samą porę, bo w innych dzielnicach i stolicach zainteresowanie zachodnimi „kresami" jednak wzrosło i oczy ogółu w tę stronę może i nie bez pewnego pod-zaniepokojenia jednak są wpatrzone. Dobrze się tedy stało, że wyzyskano propagandowo aktualną koniunkturę i że kiedy przyjdą wakacje i ferie, zwali się tu pociągami i autami istna wędrówka narodu, nie kończące się fale pasażerów, gości, turystów.

Jest tu bowiem co zwiedzać, jest. I ledwie wystarczy czasu na ciągle coś nowego. Krakowska ziemia piękna i wileńska śliczna, a lwowskie cudowne, i Wisłą do Płocka i Sandomierza, i Kielecczyzna, i tyle tego! Tyle tego! Ale w Wielkopolsce też klejnotów porozrzucanych moc. Aby je poznać inteligentnie i ze sensem, nie należy się wprost rozstawać, nawet na noc, z książeczką mistrza Kilarskiego, z Przewodnikiem, którego zapewne już wiele tysięcy rozeszło się po kraju. Nie tylko „rozkład jazdy" lub mapka automobilowa, ale i bez Kilarskiego ani się, podróżniku, rusz, ani nawet z hotelu nie wychodź. Najlepiej by było na pamięć się nauczyć Kilarskiego, tylko że to wymagałoby więcej czasu. W każdym razie ten rozdział, w którego okolice się jedzie, ktoś z rodziny powinien opanować pamięciowo, np. syn młodszy. Pałuki! Recytuj, pało, o Pałukach!

Niektórzy, którzy jeszcze Kilariona na oczy nie widzieli, mają zwyczaj mówić: „może przestarzały? i z błędami?" Takim się mówi: „Pan jesteś w błędzie" i sameś pan przestarzały! Innoziemiec pewien A. N., co to wszystko x razy to tak to inak przejechał wszerz i wzdłuż, nadal nie rozstaje się z Kilarem i po prostu lektura do poduszki. Więc co tam wydziwiać i nosem kręcić, kiedy lepszego Przewodniczka nie ma i nie będzie, dopóki każdy krytyk nie przysiądzie fałdów i swego nie napisze.

W dwunastym wydaniu będzie na pewno to wszystko, co w poprzednich opuszczone lub przepomniane: że tylko w Poznaniu krzak gorejący Mojżesza, że ...przewspaniały nagrobek najciekawszego, najważniejszego polskiego myśliciela politycznego w Tumie..., a znów gdzie to był ślub don Giovanni Baptista de Quadro ze Szkotką miss Barbary Stameth?... że w Gostyniu więzieni byli carowie Szujscy... albo: tragiczny romans na wyspie Góreckiego Jeziora... kto i dlaczego fundował gotyckie sklepienia w Dolsku?... kiedy i z kim Fürst Radolin rozmawiał po polsku?...

Itp. itd.

Szczególików, klejnocików, perełek i „migdałków" obyczajowo-historycznych dla każdego miasteczka i do każdego miejsceczka znalazłoby się jeszcze mnóstwo. Pradzielnica o bardzo ongiś bogatym i bujnym żywocie historyczno-heroicznym.

Moc legend i mitów. Kamienie, które mówią. Kraj najzawziętszych różnowierców (heretyków) i najortodoxalniejszych „klerykałów" i papistów. Piękne okazowe matrony i uporne jawne masony. Wielcy protektorzy nauki i hojni Maecenasowie Sztuki. Skutkiem czego najszacowniejsze księgozbiory po pałacach i największe kolekcje starego i nowego malarstwa. Czarne kruki w zamkowych basztach, białe kruki na dębowych stołach. Gołuchowo, Posadowo, Bonikowo, Borzykowo... W miasteczkach czystych ratusze, w ratuszach stare wykusze... W Palmiarni miłe akwaria, w różnych Koźminkach... rozaria.

A czy znasz ty, bracie młody,
Kłosowskie jeziorne wody
Z ich pełnym ptactwa sitowiem,
Ze słynnym Czaplim Ostrowiem?
A czy znasz Zoolog w Lesznie
Wyglądający pociesznie?
A Swarzędzin piękny rynek
Czyż nadaje się do kpinek?
A Robaczyn czy Robaków
Czyż nie pełen cnych rodaków?
A czy znasz ty, bracie młody,
Miłosław lub Miłowody?
Znasz „Fangrata", znasz „Dobskiego",
Gdzie przy oknie siedzi Loga?
Gdzie zaś jest, czy wiesz, kolego,
Wzór-dominium Grabonoga?
Zwiedzasz co dzień „Żorża", „Swa-[na"?
A czy ci, braciszku, znana
Jeśli nie Goślina Długa,
To Goślina Murowana?
W Szamotułach czyś raz postał,
Do Trzemeszna czyś się dostał,
Byłeś czy nie byłeś w Żninie,
Czy też bywasz tylko w „Kinie"?
Cóż, żeś przejeżdżał przez Kcynię,
A czyś był już w Biskupinie?
Czyś zawadził o Kruszwicę,
Czyś raz zwiedzał Witaszyce?
Przejeżdżałeś przez Mieścisko,
Lecz czyś oglądał Ludzisko?
Stary Gostyń znasz, lecz pomyśl:
Czas by poznać Nowy Tomyśl.
Znasz już Swadzim, to poradzim,
Abyś poznał też i Radzim.
A czy tyś bywał we Wrześni?
Czy też ci się „ani nie śni"?
Czy uważasz za rzecz znojną
Poznać wzór-dominium Gnojno?
A Pudliszki zwiedzał — który
Lubi słodkie konfitury?
Miasteczko, gdzie co dzień Środa,
Oglądnąć czy czasu szkoda?
I wieś, gdzie co dzień Sobota,
Czy pogoda, czy też słota.
A przyznaj się, młody panie,
Czyś ty był choć raz w Kościanie.
Wiesz, gdzie to Kobylepole?
(Nie mówiąc o Ryczywole)
Coś gdzieś słyszał o Rydzynie,
Nie chcesz nic o Krotoszynie,
Nie przeczuwasz, że w Gołańczy
Już się też w dancingu tańczy.
A gdy ci wymienią Pakość,
Mrukniesz: „Co mnie tam obchodzi, psiakość!"
I te jakieś tam Pałuki,
To należy do nauki
Krajoznawstwa! Ciężka piła,
A nam jeszcze wolność miła.
Więc czy znasz ty, bracie młody,
Wielkopolskie zamki, grody,
Ziemie, gdzie pradziadów kości?
. . . .
Znam. Dokładnie: „Plac Wolności".

Tak to w dowolnej, satyrycznej a nieco kulejąco częstochowskiej transkrypcji wyglądałaby dzisiejsza Polowa „Pieśń o ziemi naszej", odcinek wielkopolski w wydaniu dla tzw. dorastającej inteligencji dzisiejszej, mocno zurbanizowanej, rozmeczowanej, rozbrydżowanej, rozkawiarniałej, oczywiście nie *en bloc*, ale w jej części poznańskiej reprezentatywnej...

Równocześnie tedy i równolegle z odkrywaniem Wielkopolski szerokoterenowej dla gości-letników z innych dzielnic i regionów mogłoby iść ręka w rękę odkrywanie jej i przez... Tutejszych. Tutejsi bowiem



RATUSZ I FARA W LESZNIE

cokolwieczek się w tym ostatnio zaniedbali. Tak bywa wszędzie, to wydarza się stale. Cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie, co posiadacie. Górale nie chodzą po górach, Kaszubi się nie kąpią. Paryżanie nie znają często Paryża z drugiego brzegu Sekwany, poznanianie krajobrazu z drugiego brzegu Warty czy Bogdanki.

Dość powiedzieć, że jeszcze nie wszyscy... widzieli Strzelno, STRZELNO,

...dość powiedzieć, że nawet nie wszystkie Znajomki zwiedziły wreszcie urocze Muzeum Archidiecezjalne na wyspie Tumskiej,

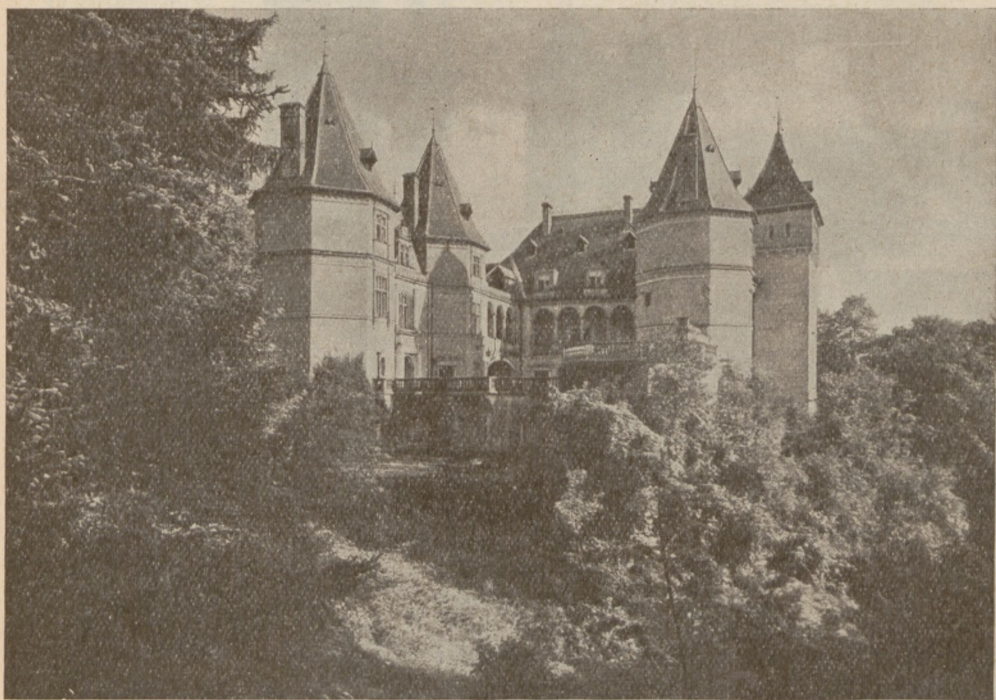
...dość powiedzieć że... Tutejsi nie pielgrzymują tam, gdzie przebywali Mickiewicz lub Chopin, Norwid lub Krasiński... A bywa też tak, że zapytani znienacka, nie wiedzą nawet, gdzie leżą urocze jednozgłoskowce:

Żoń, Zdzierż, Sławsk, Recz, Gulcz, Dłoń, Czacz, Bnin, Trląg, Kwilcz...

Gdyby sobie choć Kiliaruszowe Vademecum kupili, już by coś niecoś o tym wiedzieli. I o... Trzcielu i o... Trlągu.

Czas już i pora, żeby sobie tak Polacy w ogólności jak i Wielkopolanie w szczególności przypomnieli znowu o urokach i urodach krajobrazu macierzystego.

Adolf Nowaczyński



ZAMEK W GOŁUCHOWIE

PRYMAS POLSKI—MĘCZENNIK

Kardynał Ledóchowski znany jest społeczeństwu polskiemu przede wszystkim jako ofiara walki kulturnej, jako więzień pruski w Ostrowie. Później zasłynął on jako prefekt Rozkrzewiania Wiary, mówiono o nim nawet, że jest *papabilis*, czyli że mógłby zostać papieżem. Ale było to powiedzenie, raczej oświetlające znakomitość postaci, niż oddające prawdopodobieństwo przyszłego obioru, choćby dlatego że Kardynał umarł jeszcze za życia Leona XIII.

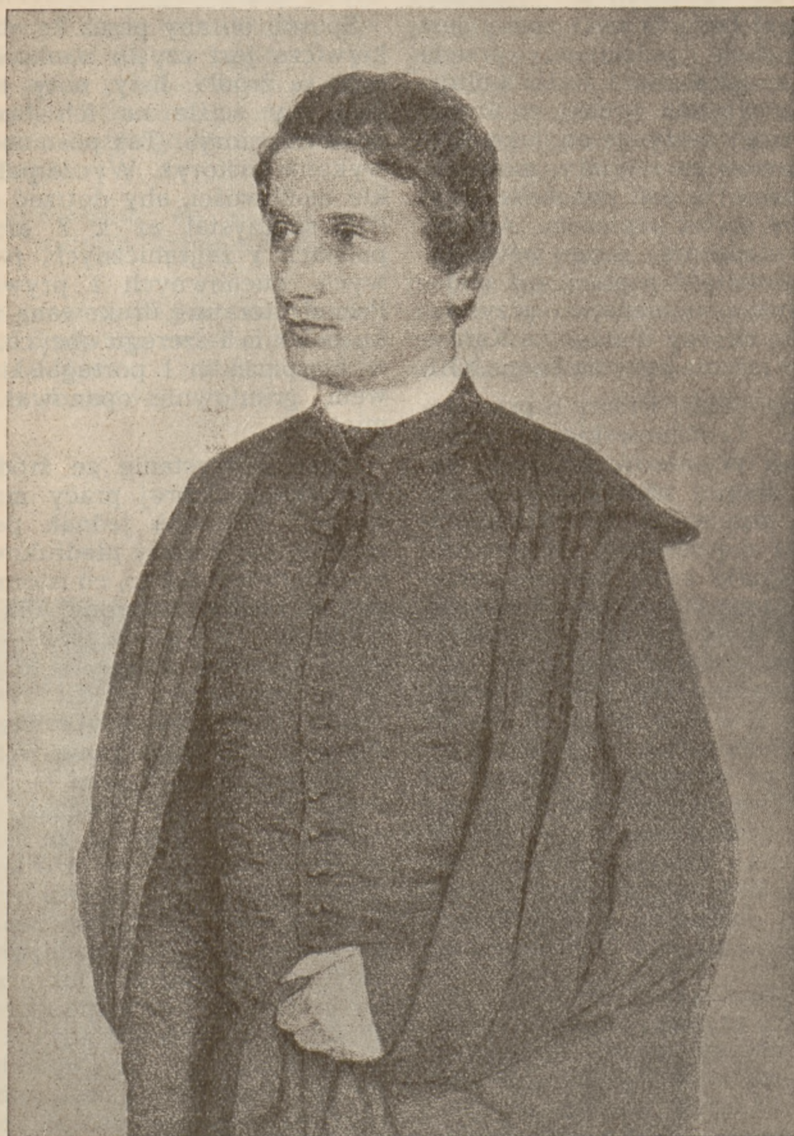
Mało natomiast wiemy o przeszłości kard. Ledóchowskiego, zanim objął tron prymasów polskich, zanim po długiej niebytności w Ojczyźnie, przyjechał do Wielkopolski — na męczeństwo. Wprawdzie były biografie kard. Ledóchowskiego obrazujące jego życie od dzieciństwa, ale były to utwory niekrytyczne lub krótkie, popularne, słowem, niedostateczne. Jeden z wcześniejszych żywotów, pióra zakonnicy Matki Wielhorskiej, zabarwiony legendarnymi szczegółami, znalazł się w ręku Więźnia ostrowskiego, który poczynił w książce szereg poprawek. Ten to cenny egzemplarz miał i czytał ks. dr Witold Klimkiewicz, autor pierwszej obszernej, źródłowej monografii o kardynale Ledóchowskim.

Ks. dr Klimkiewicz napisał i wydał w roku zeszłym jako pracę doktorską część monografii ogarniającą lata prymasostwa i uwięzienia Kardynała. Obecnie ukazała się jako tom I tejże monografii książka o „Młodości, kapłaństwie i działalności dyplomatycznej ks. Mieczysława Ledóchowskiego". Nie podejmujemy się jej streszczać ze względu choćby na jej spore rozmiary. Pragniemy tylko przedstawić metodę pisarską autora oraz podać zasadnicze rysy charakteru Kardynała.

Sposób obrany przez ks. dr Klimkiewicza jest czysto naukowy. Od tego są źródła: listy, noty, traktaty itp., aby ściśle na ich brzmieniu oprzeć życiorys. Tak postanowił i to wykonał historyk. Wyczerpał wszelkie możliwości, aby dotrzeć do źródeł, skorzystał aż z 7 archiwów polskich i zagranicznych, państwowych, duchownych i prywatnych. Poznał literaturę drukowaną w języku polskim i szeregu obcych, nawet w hiszpańskim i portugalskim, słowem, gruntownie opanował przedmiot.

Samo korzystanie ze źródeł jest warunkiem dobrej pracy monograficznej. Potrzeba jednak pewnego talentu, aby z masy niedrukowanego materiału wybrać to, co istotne, i podać w formie dostępnej dla ogółu. Pierwsze — to jest wybór — ocenić może historyk, drugie — to jest samo opracowanie osądzi czytelnik. Pewien pogląd na zużytkowanie źródeł daje ich streszczenie w tekście, a przytaczanie ustępami — pod tekstem lub na końcu książki. Czytelnik za to osądzi łatwo, że monografia ks. dra Klimkiewicza o kard. Ledóchowskim jest dziełem przejrzystym, a więc łatwym do zapamiętania, jeżeli chodzi o ważniejsze szczegóły, i przyjemnym w lekturze. Autor wobec bohatera monografii zachowuje się przedmiotowo. Uważa to za obowiązek „czystego" historyka, który rezygnuje z roli publicysty czy moralisty, prawiącego kazania... nieżyjącemu.

Autor oświetla przede wszystkim życie publiczne Kardynała. Ks. Ledóchowski był w całym tego słowa znaczeniu „mężem kościelnym", „homme d'Eglise", jak mówią Francuzi. W swoim czasie był jedynym dyplomatą kościelnym Polakiem



KS. KARDYNAŁ MIECZYSŁAW LEDÓCHOWSKI
W PIERWSZYCH LATACH KAPŁAŃSTWA, W ROKU 1849

(później działał jako dyplomata także kard. Czacki). Pracował tylko dla dobra Kościoła katolickiego bez żadnych ubocznych względów, czy to osobistych, czy narodowych. Stąd był nielubiany na emigracji polskiej.

Mimo jednak oddania się Kościołowi, czy to na placówce lizbońskiej, czy bogockiej (w Ameryce Południowej), czy brukselskiej — pewne ślady rodowe i narodowe zostały w nim niezwalczone. Był arystokratą i lubił blask przyjęć oficjalnych, należny przedstawicielom Stolicy Apostolskiej. Ale w tym upodobaniu do wystawności przebija staroszlachecka, wielkopańska żyłka, nie zrażająca jednak czytelnika do pilnego, sumiennego, a przede wszystkim b. wiernego i odważnego sługi i reprezentanta Kościoła.

Spokojny tok pisania, przedmiotowość bezwzględna, solidne oparcie na źródłach, jasność stylu zbliżają monografię ks. dra Klimkiewicza do typu żywotów pisanych przez Anglików. Bez dociekań psychologicznych, bez balastu przypuszczeń i domniemań, postać kard. Ledóchowskiego uwydatnia się żywo i — prawdziwie, stanowiąc wzór, jak trzeba pisać pierwszą źródłową rzecz o mężu publicznym. Dla nas, Polaków, lektura tej książki tym większą sprawia przyjemność, iż widzimy tu rodaka, na którym Stolica Apostolska oprzeć się mogła w pełni zaufania. Jest tu więc odmalowany człowiek z charakterem, może nie nadzwyczajnych zdolności, ale człowiek pewny, solidny, opanowany, zamknięty w kręgu obowiązków, acz niewyzbyty inicjatywy. Słowem, czytając niniejszą monografię o ks. Ledóchowskim, nie możemy oprzeć się wynurzeniu, iż jest to lektura budująca i radosna: budująca — nas, współczesnych Polaków; radosna — ze względu na bohatera nie tak dawnej przeszłości Kościoła.

H. Tyszka



W CIENIU KOLEGIATY

Władysław Jan Grabski jest autorem młodym, ale już nieźle zapisanym w literaturze. Zaczął od rozprawy o marzycielu Fourierze, co to chciał społeczeństwo rozmieścić w falansterach. Rychło przeszedł do powieściopisarstwa i publicystyki. Nie będziemy wypominali mu, że w trzech powieściach: Bracia, Kłamstwo, Na krawędzi — wplótł wątki autobiograficzne lub dał poznać swoje sympatie dla pewnego kierunku politycznego, który jest w opozycji. Były to pewne ułatwienia dla autora, ale była w nich też pięknie skrojona fikcja. Brzmiał w nich silny akcent moralny i drgał wstrząs religijny. Zewnętrznie ujmując te utwory, powiemy tyle, że ich autor okazał się dobrym narratorem. A książki narracyjnie ciekawe odczytuje się po dziesiątkach lat.

W czwartej (nie wydanej osobno) powieści „Rdza życia" autor chciał za dużo poruszyć i rozwiązać tematów z uszczerbkiem dla układu rzeczy. Sympatyczna jest w nim wiara w młodzież.

„W cieniu kolegiaty" jest powieścią piątą z rzędu. Znamienne, że osoba autora do niej nie wchodzi wcale, ani też jego sympatie i antypatie w niej się nie odbijają, chociaż powieść jest, podobnie jak poprzednie, problemowa. Problem ten wszakże nie łączy się z dniem bieżącym, nie wiąże się ani trochę z prądami społecznymi i politycznymi, jest ściśle moralny i mimo tła polskiego, mimo potrącenia o legendę regionalną, jest ogólnoludzki.

„W cieniu kolegiaty" należy do powieści mistycznych bez francuskiego patosu i przesady, bez „niesamowitości", w której zanurzyłby się chętnie Niemiec czy Anglik, gdyby mu podobny temat poddano. Mistycznym jest tu tło: pustelnik, starodawna rzeźba na kolegiacie bossucińskiej, która urzekła parę osób. Mistyczną jest przemiana w duszy bohatera, dokonana za sprawą świętej panienki.

Bohater uchodzi za świętego. Ma wszelkie jego pozory: trapi się, praktykuje, chodzi jak biedaczyna, znosi naigrawania i jako dopust towarzystwo zabójcy, a jednak świętym nie jest. Jego świętość jest „chciana", opiera się na refleksji, ale nie wy-

pływa z całej jego duszy, nie opiera się na jego harmonii wewnętrznej. Sadok (takie jest imię bohatera) poszedł drogą nie wyznaczoną mu przez Boga, lecz Boga chciał nakłonić, by mu tą drogą iść dalej pozwolił. A tu już się wplata duma, gorzej nawet: pycha. I Sadok jest, jeśli się tak wolno wyrazić „pysznym świętym" świętym od zewnątrz, świętym bez radości, bo bez spokoju wewnętrznego, tedy — w katolickim, rzetelnym pojęciu nie świętym, lecz pyszałkiem.

Świętą natomiast była Inga. Panna młodziutka (maturzystka), ładna, wesoła. Ale tej nikt nie miał za świętą, gdyż zachowywała się, jak wiele innych panien „normalnych". Była dobrą, posłuszną córką, pilną uczennicą, czułą siostrą. I zda się — tylko tyle. Była to jednak istota pokorna i zarazem — jak się okazało w pewnym tragicznym zdarzeniu — istota bohaterska. Bohaterstwem swoim okupiła dwie dusze, sama zaś odeszła niebawem do Boga. Jej chwile przedśmiertne należą do najbardziej wzruszających kart w polskiej literaturze nowoczesnej i do najpiękniejszych scen, na jakie zdobył się pisarz-katolik.

Poza tym autor przedstawił ludzi przeciętnych i paru złych. Ci mogą być z życia. Sadok i Inga bodaj byli znani autorowi. I wątpię, czy ich kto oglądał w życiu. A jednak nie są to kukły poruszane ukrytą, wprawną dłonią autora. Każda z nich ma swoją fizjonomię duchową: skrzywioną u Sadoka, prostą — u Ingi. Gdy chodzą, mówią, ocierają się o innych, krytyk i czytelnik godzą się bez wahania, że tacy być mogą, bo są żywi. Podobne wrażenie jest nader ważne: dowodzi ono, że problem pychy i pokory, wymyślnej i istotnej świętości istnieje, bo przez ludzi żywych można go stwierdzić. Artysta zaś, psycholog i mistyk w jednej osobie, rozsnuwa nici obu tych znamion. I pokazuje, że jednak pycha jest trudniejsza do przeniknięcia dla kogoś i do przezwyciężenia w sobie, niżby to się zdawało.

Świętość natomiast, oparta na pokorze i bohaterstwie, wymaga jakby bezwładu — dla interwencji woli Bożej i samorzutności — dla okazania swej mocy.

Książkę Grabskiego przeznaczam dla tych, co stroniąc od erotyki i zdawkowości wypowiedzi autora, pragną ujrzeć niezwykłość w człowieku zwykłym i przekonać się, że w człowieku niezwykłym tai się zwykłość — samolubstwa, pychy i próżności, słowem, wad prawie powszechnych.

Marian Pachucki

ZWIĄZEK KSIĘGARZY POLSKICH OGŁOSIŁ KONKURS NA HASŁO PROPAGANDOWE NA SEZON LETNI. DRUGĄ NAGRODĘ PRZYZNANO DWUWIERSZOWI

FURDA TROSKI, AMBARASY,
JADĘ Z KSIĄŻKĄ NA WYWCZASY!

HASŁO CHOĆ NIE REWELACYJNE, ALE — MIŁE. NATOMIAST NIEZWYKŁOŚĆ TEGO DWUWIERSZYKA POLEGA NA TYM, ŻE ZŁOŻYŁO SIĘ NAŃ AŻ DWÓCH AUTORÓW, I TO NIE DWAJ MALCY Z PIERWSZEJ GIMNAZJALNEJ, LECZ JEDEN MAGISTER I JEDEN INŻYNIER!

AUTORZY MÓWIĄ:

WŁ. J. GRABSKI O STOSUNKU AUTORA DO KRYTYKI



Autor z natury rzeczy skazany jest na bierne podleganie krytyce, godzi się jednak zauważyć, że o ile krytyk nie może obejść się bez autora, o tyle autorowi krytyka nie jest konieczna do twórczości. Przecież pisząc narażamy się dopiero krytyce. Historia krytyki literackiej to historia podręczników i prasy, dzieje zaś literatury to dzieje myśli ludzkiej... To niewspółmierne na przestrzeni wieków porównanie nie obniża bynajmniej znaczenia współczesnej krytyki. Może ona odgrywać rolę podobną do roli „metody" w nauce, może jednak ograniczyć się i do roli cenzury politycznej. Wielka indywidualność krytyka wyrasta poza ramy ściśle krytyce przypisywane i działa twórczo na polu filozofii, polityki... Wtedy krytyk zbliża się do „autorów" i sam z kolei podlega krytyce.

Po tym wstępie teoretycznym przechodzę do osobistej rzeczywistości. Nie mam prawa uskarżać się na krytykę mych ostatnich powieści. Była obfita, ciekawa, przeważnie sprzyjająca. Niestety — mało wnikliwa. Krytyków zaprzątało zbytnio tło polityczne mych powieści. Przesłaniało ono problemy moralne i religijne, problemy dla mnie najważniejsze. Główny cel, jaki mi przyświecał przy pisaniu trylogii: „Bracia", „Kłamstwo" i „Na krawędzi", było pragnienie wprowadzenia do literatury polskiej nowego typu bohatera. Barykę Żeromskiego uważałem za przeżytek. Mdliły mnie idealizowane w powieściach typy anarchistów, komunistów, pacyfistów, zboczeńców, degeneratów, szöngeistów i skomplikowanie-prostych, krwawoszarych tchórzów moralnych. Jednocześnie typ dominujący w młodym pokoleniu, typ młodego narodowca, był przemilczany, niewytłumaczalny, niezrozumiany a nawet — zohydzany na marginesach. A przecież dziś to nie jest już frazesem, to był typ przyszłej epoki. Dzięki postawie młodego pokolenia, przeży-

wającego a nie deklamującego idee narodowe, możemy śmiało patrzyć w przyszłość. Ono nadaje ton naszemu obliczu, tak różnemu od oblicza Czechów; na nim, na rocznikach w niepodległości dojrzałych gruntuje swą moc Naczelne Dowództwo.

Jacek Nowicki z „Braci" nie jest już wzorem dla dzisiejszego narodowca, ale był jego koniecznym poprzednikiem. On pierwszy wyłamywał się, nie bez bólu, z gangreny odziedziczonej po wojnie, on pierwszy dojrzewał do praktykującego katolicyzmu. Dojrzewał — to podkreślam. Dojrzewał samorodnie. W gorącym i upartym sercu uchronił od zwietrzenia sól idei narodowej i przetworzył ją na nowe wzory. Nie pomogła mu w tym ani ówczesna literatura, sławiona i nagradzana, nie sprzyjały prądy państwowe, ani system wychowawczy, nie czytał „Prosto z Mostu", „Kultury", „Kroniki", „Merkuriusza", nie jeździł na pielgrzymki do Częstochowy, nie słyszał exposé ministra Becka... Bohaterstwem jego było właśnie to, że nie zaparł się swych polskich instynktów, nie stracił wiary, nie poddał się fali rozbrojenia moralnego, lecz rwał się, często samotrzeć, pod prąd na spotkanie przyszłej Polski. Jeżeli błądził — nie wińmy go dzisiaj. On i jemu podobni zwalczyli opory, które dziś już nam nie zawadzają.

Te opory — to tło polityczne powieści, obraz minionej, na szczęście, przeszłości. Jeżeli krytyk, nastrojony przychylnie lub wrogo do tła powieści, na tym tle skoncentrował swą uwagę — zaniedbując bohatera i jego ewolucję — zapewne skrzywdził autora. Wielu krytyków, często życzliwych, taką właśnie niesprawiedliwość popełniało względem mnie.

Krytykując dzieła żyjącego jeszcze autora często popełnia się niesprawiedliwość, gdy nie uwzględnia się, że autor nie wyczerpuje się w jednej książce, w różnych tomach różne atakuje problemy, przechodzi ewolucję, dopełnia się, doświadcza, zmienia — póki przeżywa życie...

Jeżeli więc na podstawie jednej książki o specjalnym zagadnieniu, jak np. problem ewolucji młodego narodowca, Jacka, na przestrzeni trzech tomów trylogii, krytyk wybierze jeden fragment: wypowiedzenie się w szczególnych okolicznościach studenta na temat religii, i pogląd ten przypisze autorowi jako stanowisko w sprawie katolicyzmu — to może popełnić niesprawiedliwość. (Taką niesprawiedliwość popełnił pan Alfred Jesionowski w 14/15 numerze „Kultury", mam jednak nadzieję, że jako sprawiedliwy, wnikliwy a przyjazny mi krytyk poprawi sobie o mnie opinię po przeczytaniu powieści „W cieniu kolegiaty".)

Zarówno bohaterowie jak i zagadnienia poruszane w mej trylogii o Jacku Nowickim, czy w powieści „Rdza życia" lub w najnowszej: „W cieniu kolegiaty", to różność nie byle jaka. Zmieniają się problemy, dojrzewa autor... A w powieści, nad którą obecnie pracuję, zapewne będę jeszcze inny... Autor, który przestaje dojrzewać — zaczyna się powtarzać... A to początek klęski...

Władysław Jan Grabski

BIBLIOTEKA



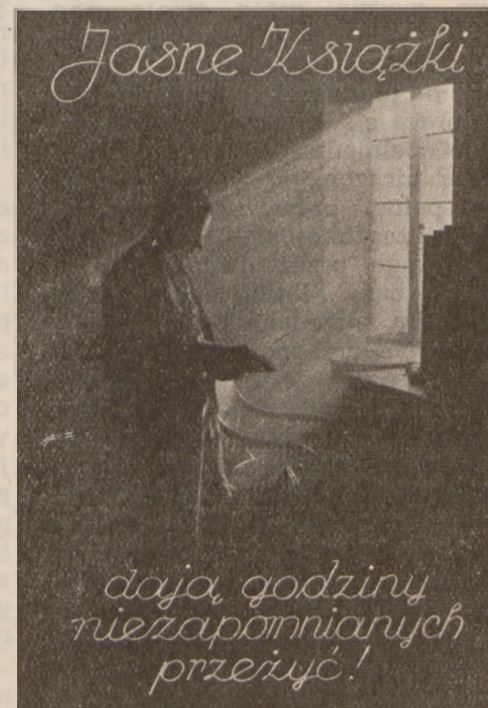
KATOLICKIEGO FUNDUSZU WYDAWNICZEGO JASNE KSIĄŻKI

KSIĄŻKI, KTÓRE WYSZŁY

Zamykamy pierwsze półrocze Jasnych Książek. W marcu wszystkim odbiorcom rozesłane zostały cztery książki, w czerwcu dwie, razem — pół tuzina. Były w tym dwie książki o jednakowym tytule dwojga autorów, Wandy i Stanisława Miłaszewskich „Wspominamy", które zyskują sobie obecnie doskonałe oceny. Jedna książka wspólna dwóch autorek francuskich, matki i córki, City i Zuzanny Malard „Bóg Żywy". Misterium radiowe, transmitowane w Wielkim Tygodniu na całą Polskę, wzbudziło najżywszy odgłos. Innego rodzaju rozgłos wytworzył się dookoła książki również z Wielkim Tygodniem związanej, bo taki właśnie tytuł noszącej powieści p. Eug. Kobylińskiej: po pewnej bardzo... nieładnej ocenie książka obłożona została konfiskatą, którą sąd jednak szczęśliwie uchylił. Drugą książką nagrodzoną obok „Wielkiego Tygodnia" na konkursie jubileuszowym Księgarni Św. Wojciecha a wydaną w tym półroczu w Jasnych Książkach jest powieść wołyńska p. M. Poziomskiej „Z motyką na słońce" z zachęcającą przedmową Zofii Kossak, znakomitej propagatorki uroków ślicznej ziemi wołyńskiej. Wreszcie Wł. J. Grabskiego „W cieniu Kolegiaty" wieńczy to pierwsze półrocze, jako ciekawy eksperyment, na który czytelnicy na pewno żywo zareagują.

KSIĄŻKI, KTÓRE WYJDĄ

W drugim półroczu pierwszą partię Jasnych Książek otrzymają przedpłatnicy we wrześniu. Złożą się na nią trzy książki. Każda w swoim rodzaju, a wszystkie trzy odmienne od siostrzyc z pierwszego półrocza. Zofii Kossak powieść historyczna z pierwszej połowy XVII wieku, o niezwykłym Polaku, który ucieleśnił słynną legendę o św. Aleksym. Na wspaniale jak zwykle podmalowanym tle lokalnym występuje w niej szereg postaci autentycznych z O. Andrzejem Bobolą na czele. Drugą jasną książką z tej partii jesiennej będzie pełen młodzieńczej werwy opis podróży poza krąg polarny p. Eug. Romiszewskiego „Pod słońcem, które nie zachodzi". Była to wyprawa uczonych naszych do Finlandii, Laponii, Norwegii. Autor podaje wiele wiadomości naukowych, ale czyni to z takim wdziękiem urodzonego beletrysty, że czytelnik ani się spostrzeże, kiedy, jak i ile posiądzie wiedzy geologicznej. Wreszcie dziewiątą Jasną Książką tego roku ma być powieść biograficzna (la vie romancée!) o Deotymie „Gwiazda Parnasu". Parnas to jeden z najciekawszych związków poetów w drugiej połowie ubiegłego wieku. Autorka p. Jadwiga Kopciowa, córka bardzo czynnego członka Parnasu, przemiłego poety Juliana Kazimierza Jasińskiego, sama jako dziecko wzrastała w tym środowisku.



ICH DOM

Taki tytuł ma nowa powieść.

Nowa nie dlatego, że jeszcze jedna, lecz że jest inna. Autorem jej jest Witold Bieńkowski nagrodzony na Wielkim Konkursie Jubileuszowym Księgarni Św. Wojciecha i Przewodnika Katolickiego za powieść Ostatnie wakacje Jana Szareckiego. Ale autor wstrzymał druk powieści nagrodzonej, a zamiast niej idzie w świat Ich dom.

Powieść Bieńkowskiego jest inna. Powiedzmy od razu, że nie jest łatwa. Nie czyta się jej jednym tchem. Właśnie dopiero wtedy rośnie jej wartość, gdy się czytanie przerwie, gdy się je przerwać musi, aby się skupić po wędrówce za autorem snującym subtelnie myśli głównych postaci zmierzających do rozwiązania zasadniczego problemu, który jest osią powieści. Bo powieść Bieńkowskiego jest inna w pierwszym rzędzie przez swoją problematykę. Problematyka ta sięga do głębin ludzkiej duszy. Cała powieść od pierwszej do ostatniej strony obraca się koło zagadnienia, czy każde spełnienie tęsknoty do odzyskania utraconego, własnego domu daje pełne, prawdziwe, uszczęśliwiające zaspokojenie. Tym domem, do którego przez dwadzieścia lat tęskni i dąży Maria, matka Józefa, jest Rutka, sprzedana kiedyś na licytacji po śmierci męża Marii a znajdująca się już w trzecich rękach. I oto w chwili, gdy powieść się zaczyna, nadarza się jedyna, według Marii ostatnia sposobność nabycia Rutki. Ale jak, skoro pieniędzy mało. Maria oczekuje czynu od Józefa, a Józef nie może patrzeć na tęsknotę Marii i decyduje się na ofiarę, na małżeństwo z nie kochaną Zosią, córką Bachmury, swojego szefa, bogatego dorobkiewicza. I teraz problem, czy ta ofiara Józefa, nie ciągnącego ani do Rutki, ani do Zosi, będzie miała sens. Czy Maria, która o tej ofierze nie wie, będzie szczęśliwa. Czy to wszystko jedno „być w Rutce, czy mieć Rutkę", „czy można żyć w Rutce nie własnej, nie wywalczonej siłą pragnienia powrotu"?

Cała powieść jest rozwiązywaniem tego problemu. Ale w sposób autorowi właściwy, w sposób, który jest drugim rysem znamiennym, sprawiającym, że powieść Bieńkowskiego jest inna. Waga akcji spoczywa nie na zdarzeniach, lecz na myślach, które się na tle tych zdarzeń snują w głowach osób działających, na ciągłych refleksjach wywoływanych zdarzeniami. Ciągle przewija się przez tok powieści Rutka i Rutka, inaczej ujmowana przez Marię, inaczej przez Józefa, inaczej przez Bachmurę, inaczej dziś, inaczej jutro, inaczej w tym, inaczej w innym otoczeniu. A wysoka i odrębna sztuka dialektyki autora łączy te subtelne nitki w tkaninę, na której coraz wyraźniej, coraz nieodwołalniej życie tka swoją odpowiedź i tę odpowiedź daje.

Autor nie ułatwia czytelnikowi tej odpowiedzi. Nie chce ani sensacji, ani katastrof, ani wylewności, a przede wszystkim efektownej łatwizny. Doznaje się trudu, czytając powieść, ale trud się opłaca, bo razem z postaciami powieści, a zwłaszcza z Józefem i Marią, czytelnik musi rozwiązywać pytanie, co jest ważne, co jest szczęściem, czym się je zdobywa, by dotrzeć „do oślepiającej prawdy, że istotą życia jest pielęgnowany, czy zapomniany, ale tkwiący w duszy człowieka, z nią związany, z nią się utożsamiający głód. Głód rzeczy sponad tych... rozumianych."

Trzecim rysem sprawiającym, że powieść Bieńkowskiego jest inna,

są postaci, ich dobór i ich zespolenie z zasadniczym problemem. Niby przypadkowo schodzą się ze sobą, nie związane, prócz Józefa i Marii, żadnym uczuciowym czy moralnym węzłem, a jednak każda z tych postaci w swoisty sposób określa swój stosunek do ziemi. Węgrowicz, jego syn, Kotowski z Sieburczyna i Kotowski z Glinek, Kotowska z Sieburczyna, Modzelewski poprzedni właściciel Rutki, Kański, nowy jej rządca, zrujnowany ziemianin, Kazimierz, stary włodarz w Rutce, ziemianin Majerski, poznany przez Józefa w Sieburczynie — wszyscy mówią o ziemi. Ale ta ziemia wymyka im się z rąk. Nie mają tego, co miał ojciec Józefa Jan, który żonie, urządzającej jego dom na pałac z amfiladą pięciu salonów i mozaikową posadzką z siedmiu gatunków drzewa i budującej na cmentarzu w Rutce wspaniałe mauzoleum, mówił, że nie chce mieszkać w pałacu. Nie przechodził nigdy przez salony, siedział w swoim pokoju o sosnowej podłodze, przy naftowej lampie i kazał się pochować nie w mauzoleum, ale w zwyczajnym grobie, w cmentarnej, rodzinnej ziemi. A nie wymknęła się i nie wymknie ta ziemia Bachmurze, który ze wsi szedł i wśród swego dorobkiewiczowskiego, na rachunkach i interesie opartego życia w pewnych chwilach tęsknił do „zielonego wiatru", aż go znalazł w Rutce. Ale Bachmura przyszedł do Rutki o własnych siłach, z własnymi zasobami, z głową i pracowitością bez „pańskich fanaberii".

To wszystko zalety i odrębności tej nowej powieści, która niewątpliwie wywoła zainteresowanie. Jeżeli autor spotka się z jakimi zarzutami, to chyba z tym, że zbyt szczegółowo przeprowadza psychiczny proces, jaki dokonywa się w Józefie i Marii. Ale to pogłębianie, to oświetlanie tego procesu myślowego z różnych stron, aby dojść do prawdy, do prawdziwego rozwiązania zasadniczego problemu, nigdy nie jest banalne ani czcze. Każdy rys posuwa sprawę naprzód. Pewne jednak skrócenie tego dokumentowania procesu wyszłoby na korzyść dalszej twórczości powieściopisarza tak pięknie zapowiadającego się tą pierwszą powieścią o tak wybitnym i nowym charakterze psychologicznym.

Ignacy Stein.

GRUNWALD

Urywek z książki Miłaszewskiej „Wspominamy"

Bardzo nikłe są moje osobiste wspomnienia dotyczące domu państwa Władysławostwa Mickiewiczów w Paryżu. Kiedy tam byłam z Rodzicami, miałam siedem czy osiem lat i muszę wyznać ze skruchą, że daleko większą atrakcję stanowiła dla mnie jazda na karuzeli w ogrodzie Luksemburskim, niż spędzenie kilku godzin w paryskim mieszkaniu, do którego wszyscy Polacy pielgrzymowali jak do Mekki...

Pamiętam jednak doskonale parę staruszków oraz ich córkę, którą mama nazywała tak ładnie: „Mariotka". Pamiętam także śliczne koty angorskie wylegujące się na wszystkich fotelach, łagodne, leniwe i rozkosznie „puchate". W mieszkaniu pachniało swojsko, jak w polskim dworze kresowym: starymi meblami i dobrocią.

Państwo Mickiewiczowie prowadzili w pięknym znaczeniu tego sło-



ANTONI WIWULSKI

wa *dom otwarty*, bo był otwarty istotnie dla każdego rodaka. Ludzie o wielkich nazwiskach i nieznani nikomu biedacy — wszyscy śpieszyli do tego źródła polszczyzny na obczyźnie i traktowani byli przez gospodarzy niemal po rodzinnemu.

Poza towarzyską jednak uprzejmością pani Mickiewiczowa odznaczała się sercem wyjątkowo czułym na wszelką ludzką biedę. Przez jej zacne ręce przepływały sumy rozdzielane pomiędzy potrzebujących pomocy, a tych był zawsze legion... Umiała zawsze kilku rzuconymi w porę słowami zdobyć pieniądze od swych zamożnych przyjaciół dla jakiegoś ginącego z głodu artysty nę-

dzarza, dla innego wynaleźć pracę zarobkową, innemu zapewnić opiekę lekarską lub wyjazd na kurację. Toteż nierzadko Muzeum żywych pamiątek po Wieszczu było terenem spotkań, pozornie tylko przypadkowych: bywały one nieraz wynikiem starannie obmyślonej strategii... Niejednemu głodującemu malarzowi naraiła staruszka w ten sposób kupca na obraz, początkującemu literatowi — wydawcę, a muzykowi — hojnego protektora.

Mistrz Paderewski żył w serdecznej przyjaźni z rodziną Mickiewiczów, toteż ilekroć znalazł się w Paryżu, bywał u państwa Władysławostwa częstym gościem.

Pewnego razu (a działo się to mniej więcej na dwa lata przed wielką, bo już pięćsetną rocznicą grunwaldzką) spotkał mistrz na ulicy przypadkiem panią Mickiewiczową. Niosła naturalnie koszyczek, z którego wyglądały prowianty.

Paderewski spytał z uśmiechem:

— Zapewne jakiś nowy pupil jest „na wokandzie"?

— Zgadł pan — odpowiedziała staruszka. — Właśnie idę do niego. Biedaczek sam jest, chory i bez żadnej opieki.

— Artysta? Polak, ma się rozumieć?

Skinęła głową:

— Skończył architekturę w Wiedniu. Teraz tutaj studiuje rzeźbę. Bardzo, bardzo zdolny. Tylko zdrowie ma biedak słabe.

W oczach mistrza, jasnych i wyrazistych, zamigotało współczucie. Decyzja zawarła się w trzech słowach:

— Pójdę z panią.

Czy już wtedy, wiedziony intuicją, przeczuwał, że znajdzie tam człowieka, który urzeczywistni kiełkujące w duszy najgorętsze jego pragnienie? Złożyć Ojczyźnie, w jubileuszową rocznicę zwycięstwa nad Niemcami, wspaniały dar! Przypomnieć całemu światu jedno krótkie a tak potężne słowo: *Grunwald!*

Chorym rzeźbiarzem, do którego Paderewski przyjechał razem z panią Mickiewiczową, był Antoni Wiwulcki. Młody wówczas, dwudziestokilkoletni wilnianin.

Do tego dnia — nieznany nikomu, biedny, borykający się ze skrajną nędzą — polski rzeźbiarz... Wkrótce imię jego będą wymawiać w całej Polsce tuż za wielkim imieniem, które znał cały świat.

Od pierwszej chwili, od pierwszego spojrzenia przypadł mistrzowi do serca ten młody człowiek z podłużną, szczupłą twarzą, na której płonęły chwilami niepokojące rumieńce, z mądrymi oczami dziecka, z nerwowymi rękami artysty. Stał się w oka mgnieniu kimś bliskim, dobrze znajomym, zanim jeszcze zdążył wyspowiadać się przed Paderewskim ze swych marzeń i zamierzeń na przyszłość.

W nędznej, ciasnej pracowni na peryferiach miasta — gdzie Wiwulski na przemian albo pracował gorączkowo, albo leżał w gorączce — zobaczył Paderewski szkic rzeźby bijący w oczy śmiałością pomysłu i głęboko artystycznym wyrazem.

Na drobnym, półdzikim koniku półdziki jeździec, pochylony, z dłonią przy oczach, wypatruje kogoś z oddali...

— Kiejstut — jednym słowem objaśnił młody rzeźbiarz.

Nie mogłam wiedzieć dokładnie, jakie tematy poruszyli w pierwszej rozmowie, ale tego samego dnia Wiwulski otrzymał zamówienie: ma wykonać projekt pomnika wyrażającego wielkie zwycięstwo, chwałę Polski. Projekt *pomnika grunwaldzkiego.*



Z MOTYKĄ NA SŁOŃCE

Ukazała się nareszcie pierwsza polska powieść o Wołyniu i Polesiu wołyńskim.

Wołyń z przeszłości — kraj „stanowiący najpiękniejsze świadectwo potęgi polskiej kultury, jej atrakcyjności i mocy", i *Wołyń dziś* — teren ważkich, doniosłych i zawikłanych nieraz problemów — dostarcza polskim pisarzom obfitych i bogatych tematów. Ale pisarze milczą. Pióra zwarły się w jakimś akcie martwego bezczynu, chociaż stan materialnego i kulturalnego posiadania Polski na Wołyniu w ciągu ostatnich lat chwieje się mocno!

Lecz oto znalazła się pisarka, która sięgnęła pierwsza po temat rodzimy. P. Maria Poziomska opiewa w swej powieści dole i niedole polesko-wołyńskiego ludu, budzi cześć dla zagrodowej szlachty — źródła, z którego Wołyń już czerpie rumieńce polskości!

„Z motyką na słońce" nie rości pretensyj do miana epopei, nie jest nawet wszechstronnym dziełem problemowym. Ogarnia jeden niewielki odcinek na pograniczu Polesia i Wołynia. Odtwarza życie ludu prostego, tych naszych mrówek zagubionych w codziennej walce o byt. Ich horyzonty nie sięgają przeważnie poza ściany podliskich domostw, czy zalesińskich „budek".

A jednak i tu są problemy i tu są bohaterowie — tacy jak zapomniany i zagubiony w tłumie pionier w sutannie ks. Szczepaniak, jak, na swój sposób gorący Polak, sołtys Lasota, jak dwie zakonnice bez rozgłosu i zapłaty pełniące samarytańską powinność... Każda z tych postaci ma swoją ambicję, swój ideał, swój świat, własne umiłowania, kryteria, rany w sercu i sposoby na ich leczenie. Oblicze przedstawionego wycinka Wołynia żłobią bruzdy i wstrząsają nim bolesne skurcze. Ciemnota ludu graniczy częstokroć z pierwotnością zabobonnych Malgaszów czy Pigmejów. Materialna nędza nie pozwala na zaspokojenie najprymitywniejszych potrzeb. I na dobitkę — podziemna, krecia robota wrogich elementów, których uosobieniem jest Antek Piotrowicz, syn ruskiego diaka, student politechniki lwowskiej, i rudy żydziak, syn miejscowego kramarza.

A ponad tymi wszystkimi sprawami, ponad wątkami splatającymi się w kompozycyjną całość — wydobywa się sprawa zasadnicza w powieści: rola Kościoła katolickiego na Wołyniu i Polesiu.

Dwie słabe kobiety, które otacza gąszcz rozmaitych przeszkód, porywają się „z motyką na słońce" i więcej robią, dzięki czynnej miłości bliźniego i docenieniu swego powołania misyjnego, dla ludzi i Polski, niż zorganizowana działalność urzędowych placówek i instytucyj...

O zwycięstwo spierają się dwa światy i dwie idee — dobro i praw-

da ze złem i fałszem. Zwycięża idea pierwsza.

Nawet pop prawosławny zreflektuje się w końcu i powie do swej małżonki:

— Co ja? Brodiaga wobec nich... Za takimi to cały naród pójdzie...

Rzadko spotyka się we współczesnej naszej beletrystyce tak piękną postać księdza, jak ks. Szczepaniak, który parafian swoich uważa za dzieci, dzieli z nimi radości i smutki, bawi się nawet razem z nimi... Na każdej uroczystości rodzinnej jest obecny, każdy spór — choćby najbardziej jątrzący i drażliwy — umie załagodzić, a na wieczorynce potrafi z organiściną Genowefą zatańczyć kadryla... Ten człowiek ma osobliwe podejście do ludzi i szczególny dar ich podbijania.

— Bo widzi siostra — mówi proboszcz z Zalesia — kulturalne podejście do człowieka prostego niesłychanie go dla tej kultury zjednywa! Ukazuje jakby do niej drogę i zachęca, a jednocześnie sprawia, że osobnik ten — widząc, że jego godność ludzka jest uszanowana — wstydzi się swoich przywar i tych brzydkich rzeczy, jakie dotychczas popełniał.

Powieść p. Poziomskiej pod lekką i powiewną szatą ukrywa znamienny problem: zarówno postaci księży, jak i „białych sióstr" — własną duchową kulturą podnoszą w bliźnim godność człowieka i spełniają w ten sposób swoją cywilizacyjną misję. Tę misję spełnić ma dziś na ziemiach kresowych Kościół, który prócz tego, że jest moralną ostoją wiernych, nieci i podtrzymuje polskość, pogłębia kulturę i oświatę.

Aby docenić ideę powieści — trzeba się dobrze wmyśleć w jej fabułę i w duszę bohaterów. P. Poziomska nie „apologetyzuje", ale rzuca prawdę, niezwykłą i przekonywającą.

Dramatyczne dzieje nieszczęsnej miłości Hanusi Lasotówny — zahaczają o splątane i tajemnicze dzieje najwspanialszej pod względem artystycznym postaci ciotki Elżbiety. Znamy ją tylko z daleka, z mglistych informacyj, ze skąpo wypowiadanych przez nią samą zjadliwych półsłówek. Coś ją gnębi i dręczy. Musi to być coś wielkiego, bo mimo że Elżbieta jest człowiekiem silnym, nerwy jej nie wytrzymują... zapomnienia szuka w przerębli... Na wskroś tragiczna — biedna i wielka na miarę, ośmielam się twierdzić, niektórych bohaterów Szekspirowskich.

Autorka mówi gładko i potoczyście, tam zaś, gdzie wprowadza słuszne momenty satyry, nie przesadza i nie przejaskrawia rzeczywistości.

Wacław Malewski

JAK UNIKNĄĆ NUDÓW NA WYWCZASACH?

Wakacje się zbliżają. Trzeba się pakować. A przynajmniej czas o tym pomyśleć. Co wziąć? Panie rachują ilość przewiewnych sukien, kostiumów w pasy i kwiaty do kąpieli morskich i słonecznych, panowie wahają się w wyborze garniturów i pidżam — to jest naturalne. Ale za to byłoby nienaturalne, gdyby w dużej walizce nie mogła się „w żaden żywy sposób" pomieścić jedna lub parę książek. Książka nie jest przyciskiem marmurowym, ażeby aż tyle zaważyła. Książka nie jest czymś, co można odłożyć do czytania po powrocie z wywczasów. Bo książka w wielu okolicznościach i miejscach może się stać niezbędną. I tak zdarzy się (na pewno!), że znajdziemy się w towarzystwie inteligentnym, które lubi omawiać tematy literackie. Być milczkiem podczas namiętnej rozprawy nie jest rolą przyjemną, posądzą nas o uwiąd

starczy lub o taki stopień kultury, jaki mają państwo Nowobogaccy.

Albo będziemy w miejscowości, która już zdobyła sobie uznanie w literaturze, a my o tym nie wiemy nic a nic, „ani be, ani me".

Albo niebo będzie niezbyt łaskawe i zmienne, jak humor dyktatorów, i zostaniemy przykuci do pokoju czy izby. Mamyż się skazywać na nudy? badać snucie się pająków po kątach a much w ich pobliżu? Zostawmy to specjalistom od „arachnologii" (pająkologii) czy „muchobytu". I sięgnijmy po lekarstwo, które każe nam zapomnieć o pierwotności „letniego pomieszkania" i o szkaradnym (niestety opłaconym!) powietrzu.

Wakacje bardzo łatwo można spożytkować dla zdrowia i umysłu; zabierając z sobą książkę, wyrównamy pewne zaległości, które nie mogą przecież rosnąć w nieskończoność. Inteligencja obowiązuje nie z samej tylko nazwy.

Zacznijmy od wakacyj nad morzem. Słusznie podkreślano, że *„Zolojka" Jerzego Bandrowskiego* jest pierwszą *prawdziwą* powieścią o morzu polskim i Kaszubach. Dziś morze jest nam jeszcze droższe niż wtedy, kiedy Bandrowski pisał „Zolojkę", droższe, bo nam go zazdroszczą i chcą wydrzeć! A sama bohaterka jest tak wdzięczna, że spróbujemy porównać tę z powieści z ową, którą ujrzymy na progu checzy kaszubskiej.

Nie wszyscy lubią morze. Nie wszyscy mogą sobie pozwolić na „wakacje morskie". Ale są i „morza" wewnętrzne, jak Narocz, są Jeziora Augustowskie. A skoro o wodzie mowa, to czyż brzegi nadniemeńskie, opiewane przez Mickiewicza, straciły już urok? Nie! nie! Kto w tamte strony chce podążyć myślą lub całą osobą, ten niech skorzysta z *Bohdanowiczowej „Droga do Daugiel"*, z *Miłaszewskiej „Stare Kąty"* i *„Święty Wiąz"* lub *„Czarna Hańcza"*. One rzucają osobliwy czar na czytelnika.

Przyjemnie jest obcować z młodym i szczerym autorem. Bo to jakby on odmładzał starszego czytelnika, jakby jego wiara nieciła na nowo zgaszoną wiarę starszych lub takich, co doznali zawodu w życiu; jakby jego dążenie urzeczywistnić miały dążenia tych, co już ustają w drodze. *„Kłamstwo" Władysława Jana Grabskiego* jest piękną obroną prawdy i rzetelności postępowania w życiu społecznym i politycznym. *„Na krawędzi"* jest to pasowanie się śmierci z życiem a ducha ze zmysłami. Podwójny dramat. Podwójne napięcie. Czyta to się bez znużenia, ze współczuciem dla bohatera, z radością na końcu i chęcią poznania całej twórczości Grabskiego, a jest ku temu świeża sposobność (patrz „W cieniu kolegiaty").

COP jest modny. Nie tylko: COP jest żywotny. Przyszłość jego zapowiada się świetnie. Co jednak wiemy o jego przeszłości? Obrazy z lat dawnych Sandomierskiej ziemi maluje pięknym językiem i z wielkim umiłowaniem przedmiotu syn tej wesołej ziemicy, Roman Koseła. Kto lubi poznawać przeszłość Polski, kto lubi strony nadwiślańskie, kto chce odetchnąć świeżością COP-u — niech sięgnie po *„Sandomierkę" Koseły*.

Siła uczuć wzmaga się na wiosnę. Romantyzm tkwiący w tysiącach dusz nie poddaje się zrównaniu. Jest w każdym normalnym człowieku tęsknota za szczęściem, drży w każdym prawie nuta miłości. Różne bywają jej koleje. Ale jedno tylko jest pragnienie: zaznać jej. *„Dziwne losy Jane Eyre"* pióra *K. Brontë* są powieścią romantyczną i dramatem. Przykuwają one uwagę od pierwszej strony i mimo obszerności książki nie męczą, lecz podniecają ciekawie, która w tym wypadku do piekła nie poprowadzi. A więc śmiało sięgnijmy po Jane Eyre!

Czy nigdy nie zetknęliśmy się z „niesamowitością" zdarzeń? Czy nigdy nie słyszeliśmy ich pozornie logicznego wytłumaczenia? Owszem, owszem! Ale radzi bylibyśmy posłuchać wyjaśnienia tych zjawisk czy zdarzeń w sposób nie tyle logiczny, ile naprawdę słuszny. *„Niedowiarstwo ks. Browna"* (autor *G. Chesterton)* jest wymierzone przeciw pysze „logistów" i odsłania niespodziewane powody czy sprężyny tajemniczego działania. Jest to książka niespodzianek, która zachwyca talentem autora.

Była i jeszcze trwa moda na powieści kryminalne. Przyszła z Anglii. Lecz to nie znaczy, żeby Anglia nurzała się w kryminalistyce. Po prostu Anglicy nie mając w życiu „strasznych przygód", łakną ich w fikcji powieściowej. Ale nie trzeba przesadzać z tematami i akcją kryminalną! Przede wszystkim nie należy pozwolić na to, by wulgarność treści opanowała tę dziedzinę literatury. Dwie powieści *Adamsa: „Tajemnica domu za Bramą Królowej"* i *„Usta Moiry"* oraz *R. Knoxa „Czyja ręka?"* dzięki wyborowi środków podniecających ciekawość czytelnika, lecz nie malujących okropności wypadków ani nie wzbudzających w nim przerażenia — są wzorem, jak pisać powieści kryminalne dla inteligencji, która pragnie literatury „nie mdłej", ale przy tym wypoczynkowej.

Zrobiliśmy więc przegląd książek szczególnie nadających się na tegoroczne wywczasy. Ale jest ich więcej, znacznie więcej.

H. T.

MŁODE OCZY POCHYLAJĄ SIĘ NAD KSIĄŻKĄ...

Zbiórka. Najpierw ćwiczenia, gry na świeżym powietrzu, potem gawęda w harcówce. Zastępowy zagaja dyskusję:

— Co przeczytaliście w ostatnim tygodniu? Zaraz, zaraz, nie wszyscy jednocześnie. Według alfabetu! Głos ma Adaś — historyk.

— Ten ci pewnie znów wygrzebał jakąś przedpotopową historyjkę — wyrwał się z kąta „wódz Sjuksów", w domu zwany Marcinkiem.

— Prawie zgadłeś. Tylko że nie przedpotopową, ale prehistoryczną, o życiu przed tysiącami lat...

— Cóż to za książka?

— „Kamiennym toporem" Bronisławy Steinowej. Zajmie na pewno nawet tych, co się boją historii jak ognia. To wiele ciekawsze od „Ducha puszczy". Kilku chłopców takich jak my przeżywa nadzwyczajne przygody w starodawnej osadzie słowiańskiej, do której przeniosła ich cudowna maszyna całkiem niespodzianie wprost... z Krakowa. Czytając ani się obejrzysz, jak dowiesz się mnóstwa ciekawych, nowych rzeczy o życiu naszych praojców w epoce kamiennej.

— Pożycz mi tę książkę — odezwał się niepewnie wódz Sjuksów. — Jak się będę bardzo nudził, to może do niej zajrzę.

— Jeśli nawrócisz się na historię, to może i ja przekonam się do tych twoich czerwonoskórych.

— Dobrze, książka za książkę: ty mi dasz ten twój Kamienny topór, a ja ci taką książkę o Indianach, że piękniejszej nie pamiętam.

— Jakże się zwie to arcydzieło?

— „Kiddi, dziecię obozu", Anglika czy Amerykanina Leightona. Ale, to jest książka! Kiddi to chłopak w naszym wieku, półbiały, pół Indianin z Dzikiego Zachodu. Nie tylko walczy dzielnie, prawie jak... Polak, ale jest jakby prawdziwym harcerzem...

— Na co szukać wodzów harcerskich aż na Dzikim Zachodzie — wtrącił się zawsze poważny i opanowany Jędrek — skoro mamy takie wzory własne jak Henryka Glassa

„Na szlaku Chudego Wilka". Ja tę książkę czytałem, przyznam się, ze wzruszeniem, bo jest ona z życia wzięta, z prawdziwych zdarzeń i czynów samych harcerzy na Ukrainie i Podolu w latach rosyjskiej rewolucji. Ile trudów, ile niebezpieczeństw musieli przejść ci ludzie, którzy dziś żyją wśród nas, gdy jako młodzi chłopcy przedzierali się i innym pomagali się przedzierać z tej strasznej pożogi do Polski. Do Polski!

Umilkł Jędrek a cisza zawisła w powietrzu. Odżyły przygody Chudego Wilka, przekradającego się ku wolnej Ojczyźnie. Serca łomotały równo: Polska, Polska, Polska.

Dopiero po chwili zastępowy, druh Antek, przerwał milczenie.

— Ja również czytałem dwie powieści z naszego życia. Pierwsza to J. Starzeńczyka: „Zwycięskie lilie". Treść tej książki wypełnia także praca harcerzy dla Polski. Dzielny zastęp, według wszelkich metod harcerskich, wpada na trop afery szpiegowsko-przemytniczej, prowadzonej przez żydowską międzynarodówkę. Chłopaki nie cofają się przed niebezpieczeństwem. Przeciwnie, świadomość, że stanęli do walki ze zorganizowanym złem, że pracują dla Polski, dodaje im sił. „Zwycięskie lilie" — to piękna książka.

— A druga?

— Co za druga?

— Przecież druh wspomniał również o drugiej powieści harcerskiej.

— A, właśnie. Ta druga książka opowiada o życiu harcerzy francuskich. Nosi tytuł: „Krytyczna noc w Kervizelu", a autor zwie się Piotr Delsuc. W czasie nocnych manewrów harcerskich druhowie słyszą jakiś podejrzany krzyk, jakieś wołanie o ratunek. Głos ten zdaje się wychodzić z ruin ponurego zamczyska. Jak się potem okazuje, w zamku tym czekiści sowieccy uwięzili uczonego chemika. Za długo byłoby opowiadać, jak dzielnemu zastępowi udaje się porozumieć z jeńcem, jak harcerze francuscy z niezwykłych i groźnych sytuacyj wyszli obronną ręką.

— Mówcie sobie, co chcecie, a ja najlepiej lubię powieści Curwooda — odezwał się Filipek.

— Gdybyście czytali „Władcę skalnej doliny", albo „Bari syn szarej wilczycy", albo „Łowcy wilków", „Łowcy złota", to rozkochalibyście się nie tylko w zwierzętach, bohaterach Curwooda, lecz i w tej śnieżnej, tajemniczej, dalekiej północy.

Tajemnicza, daleka północ. Śnieg, mróz, lód. Wszystkich nagle przejął dreszcz, choć przecież był to czerwiec!

Wymieniano potem jeszcze śląskie powieści Gustawa Morcinka: „Narodziny serca", „Gwiazdy w studni". Śląski Gustlik ma wśród młodzieży oddanych i gorących zwolenników, podobnie jak ma ich Zofia Kossak-Szczucka za przebogate polskie „Bursztyny", za pełną emocji powieść: „S. O. S.", za piękną i czystą książkę: „Z miłości..."

Zbiórka trwała dziś dłużej niż zwykle. Rozgadały się chłopaki jak krzykliwe sroki. Nie trzeba się dziwić: rozmawiali o książce!

— — — — — — — — —

Nie wiem, czy zauważyłeś, dostojny ojcze i ty miła matko, jak bardzo błyszczą młode oczy pochylone nad książką. Nie wiem, czy zdajecie sobie sprawę, że ciche słowa dobrej książki wypełniają nieraz serce waszego dziecka po brzegi, że w ciszy i samotności, sam na sam z książką, syn wasz wychodzi poza swój pokój, poza dom, poza swe miasto rodzinne, bliskim staje mu się kraj cały i morze, niebo i gwiazdy, dobroć i miłość, Polska i Bóg!

Pamiętajcie o tym, że nieraz nad książką zasiada dziecko, a odkłada ją — choć dzień ledwie minął — człowiek już niemal dojrzały.

Stanisław Krokowski

KSIĄŻKA, KTÓRA ZBLIŻA DO PRZYRODY

Było to na pięknym filmie przyrodnika-fotografa Włodzimierza Puchalskiego, który przed oczami widzów roztoczył obrazy przyrody od strony najciekawszej, bo od strony życia. Patrzącym się zdało, że to oni wędrują od gniazda do gniazda bez względu na to, czy ono na ziemi, czy też prawie w chmurach przez ptaka uwite zostało, że zaglądają do leśnych zwierza kryjówek, że śledzą każdy jego krok niemal, cały bieg jego życia, od miłości i narodzin począwszy — słowem, że wydarli przyrodzie jej tajemnicę.

Miałem na tym filmie możność przysłuchać się rozmowie, którą prowadzili dwaj mali chłopcy ze swoim ojcem. Siedzieli bezpośrednio za mną, więc słyszałem dokładnie każde słowo ściszonej rozmowy. Jakąż moc szczegółów chcieli wiedzieć o życiu stworzeń, które widzieli na ekranie, iluż pytaniami zasypali ojca! Gdy przedstawienie się skończyło, ojciec zapytał, co też się im najwięcej podobało?

— Tatusiu! wszystko, wszystko było najładniejsze!

Nie wyczułem w tej odpowiedzi dziecięcej dyplomacji, natomiast szczery, serdeczny entuzjazm, objaw niebywałego zadowolenia. Ciekaw jestem tylko, czy wyzyskany został ten zapał dzieci, czy np. otrzymały one ciekawą i piękną książkę przyrodniczą, która by podtrzymała to zainteresowanie przyrodą, życiem mieszkańców lasów naszych, łąk, pól i wód. A jest przecież co dać dziecku w rękę. Jest z czego wybierać. Choćby „Na tropie przyrody" Włodzimierza Korsaka, lub W. Bonselsa „Marek w lesie", Heleny Zakrzewskiej „Pojednanie". Każda z tych książek spełniłaby swe zadanie: zainteresowałaby malców, zaspokoiła oczywiście ich ciekawość, dałaby im mnóstwo wiadomości, których pragną.

Przemiła jest książka Korsaka. Wybitny ten myśliwy, pisarz i ilustrator w jednej osobie, zawarł w pięknej, lekkiej powieściowej formie bardzo dużo praktycznej wiedzy łowieckiej i masę szczegółów o życiu przyrody, życiu chwytanym na gorącym uczynku, zdybanym w w kniei.

Jest to historia lata, które spędzili na wsi wśród puszcz naszych, polskich, dwaj chłopcy, przyjaciele. Historia bardzo miłych wakacyj, które dały im dużo radości, zadowolenia, pogłębiły ich wiedzę przyrodniczą, a należeć będą bezsprzecznie do przeżyć najcudowniejszych. Marzyć będą odtąd o takich wakacjach, tęsknić rok cały, aż urządzą na ich wzór następne. Ilu chłopców polskich o takim lecie marzy skrycie, ilu spośród nich przeczytałoby o nim z zadowoleniem, gdyby im tylko książkę Korsaka dać w rękę. Ze słowami podzięki przyjęliby ją jako najmilszy dar — ręczę za to! Z własnej młodości mam doświadczenie.

„Marek w lesie" Bonselsa, to znowu prześliczne opowiadanie o małym chłopcu sierocie, który żyjąc w lesie w zupełnym zespoleniu z otaczającą go przyrodą, większą część swego czasu poświęcił na podpatrywanie zwierząt, poznawanie ich zwyczajów i życia. Sam leśnym się poddał prawom i leśny przyjął obyczaj. Z myśliwca strzelającego z łuku do leśnych stworzeń stał się miłośnikiem świata zwierzęcego na wzór franciszkański.

Ten sam motyw przewija się i w powieści Zakrzewskiej „Pojednanie". Jest to znów ciekawa opowieść o niedźwiedziu tatrzańskim, która czytelnikowi daje przepiękny obraz naszych gór. W języku góralskim napisana i ślicznymi ozdobiona ilustracjami Leli Pawlikowskiej.

I tutaj dziecko, mała Hańcia, jest przyjacielem przyrody, czynnikiem, który staje w jej obronie i wreszcie godzi z nią człowieka.

Zaznaczyć muszę jeszcze, że wszystkie trzy książki mają piękną szatę zewnętrzną. Pierwszą zilustrował wspaniałymi rysunkami, oddającymi doskonale nastrój i życie w przyrodzie, a nawet ruch zwierza, sam autor, Korsak. Drugą zaś mistrz Kamil Mackiewicz.

●

Na ogół docenia się tylko wartość przyrody materialną, znaczenie obcowania z nią dla ciała, zdrowia, tężyzny fizycznej — a nie bierze się pod uwagę wartości dla ducha ludzkiego, którymi ona hojnie obdarza przebywających na jej łonie. Nie miejsce tutaj, aby te wszystkie wartości wyliczać i rozpatrywać. Zaznaczę jednak, że obcowanie z przyrodą wyrabia orientację i przedsiębiorczość, umiejętność radzenia sobie w życiu, kształci wolę, daje hart ducha, cierpliwość i wyrozumiałość, łagodność i pogodę, zadowolenie wewnętrzne; nauczy franciszkańskiej miłości wszechrzeczy i ewangelicznej pokory, przywiąże do ojczystej ziemi. A społeczeństwu, narodowi przysporzy nowych Dygasińskich i Weyssenhoffów, nowych uczonych, nowych Puchalskich i Sokołowskich.

Zadatki na to już są. Znam młodych chłopców, którzy już jako uczniowie niższych klas gimnazjum wyróżniali się niebywałą znajomością świata roślinnego i wiedzę większą w tym zakresie mieli niż niejeden absolwent wydziału przyrodniczego uniwersytetu.

Znam młodego uczonego, wykładowcę na uniwersytecie, wybitnego dziś znawcę ptasiego świata, który książkę o ptakach napisał już wtedy, gdy był w gimnazjum.

Podobnych przykładów można by przytaczać bardzo dużo, — jestem przekonany, że w przyszłości wyliczać będzie można jeszcze więcej. Tylko dajmy dzieciom i młodzieży piękną przyrodniczą książkę, niech żyje z przyrodą, bo „żyć z przyrodą — powiedziała Rodziewiczówna — to żyć z Bogiem, a żyć z Bogiem, to mieć słońce w duszy".

●

Nie wszyscy dziś młodzi będą chcieli wziąć do ręki książkę przyrodniczą — bardzo odbiegli od tych zagadnień swymi zainteresowaniami. Nie znaczy to jednak wcale, aby i oni nie byli czcicielami piękna przyrody, aby nie lubili przebywać na jej łonie. Owszem, najchętniej, tylko przyroda będzie tłem ich właściwych przeżyć; choć naukowo nie będą się chcieli zbliżyć do przyrody, przebywać wśród niej będą chętnie.

I dla nich istnieje specjalna kategoria książek — krajoznawczych-podróżniczych. W tej dziedzinie piękną lekturą jest np. Wandy Miłaszewskiej „Czarna Hańcza", w której utalentowana pisarka w formie powieści opisuje swą podróż kajakiem z biegiem tej prześlicznej, uroczej rzeki i po jeziorach Wileńszczyzny.

Podobną książką, w której jednak szczególnie zaznaczony jest charakter podróżniczy, to książka Michaliny Isaakowej: „Polka w puszczach Parany". Ciekawa nie tylko dlatego, że zawiera mnóstwo szczegółów o życiu naszych rodaków w Paranie i tamtejszych tubylców, że jest w niej opisanych mnóstwo przygód niezwyczajnych, ale że napisała ją kobieta, która sama odbyła podróż tak daleką w nieznany zupełnie świat, pełen niebezpieczeństw.

Jeśli więc nie z książką przyrodniczą w całym tego słowa znaczeniu, to niech z taką krajoznawczą, podróżniczą spędzi młode pokolenie nadchodzące lato.

Romuald Tomaszewski

Uchylenie konfiskaty „Wielkiego Tygodnia". Jak wiadomo, pełna czaru Wilna powieść Eugenii Kobylińskiej „Wielki Tydzień" po pierwszej recenzji pióra p. Waleriana Charkiewicza w „Słowie" uległa konfiskacie. Obecnie spieszymy się podzielić z czytelnikami „Albertinum" miłą wieścią, że Sąd Okręgowy w Poznaniu konfiskatę uchylił. Piękna ta książka powróciła więc na półki księgarń, bibliotek i czytelni, gdzie — jak nam donoszą — jest teraz jeszcze skwapliwiej wypożyczana.

Ostateczne zatwierdzenie konfiskaty „Ruin". Odmienny los natomiast stał się udziałem powieści Jana Strzembosza pt. „Ruiny" stanowiącej część trzecią tetralogii „Dzieje dziesięciolecia". Zatwierdzona została ostatecznie konfiskata tej książki w całości. Autor pracuje obecnie nad czwartą częścią cyklu, która nosić będzie tytuł „Jabłoń kwitnąca". P. Strzembosz ze względu na konfiskatę „Ruin" zamierza tej ostatniej powieści nadać charakter bardziej samoistny, tak żeby czytelnicy, którzy nie znają „Ruin", mogli się zupełnie swobodnie orientować w treści „Jabłoni kwitnącej". Powieść ukaże się późną jesienią bieżącego roku i włączona będzie zapewne do „Jasnych książek". Kwalifikować ją do tej serii będzie pogoda, optymizm i wiara w przyszłość, jaką autor pragnął od początku zamknąć swoje „Dzieje dziesięciolecia".

Prof. Józef Birkenmajer powraca do Polski. Znany literat i krytyk a miły nasz współpracownik, który przed paru laty powołany został na katedrę języka i literatury polskiej na Uniwersytecie Stanu Wisconsin w A. P., powraca już wkrótce do Polski. Prof. Birkenmajer pracuje między innymi studiami nad monografią Zofii Kossak. Praca ta ma się ukazać nakładem Księgarni Św. Wojciecha w szeregu monografii najwybitniejszych autorów katolickich. W cyklu tym pojawiły się dotychczas prace prof. Konrada Górskiego o François Mauriacu, prof. Folkierskiego o Psicharim i ostatnio Jana Dobraczyńskiego o Papinim („Lawa gorejąca").

Echa konkursu jubileuszowego Księgarni Św. Wojciecha. Jury konkursu tego powinno być naprawdę dumne ze swego wyboru utworów nagrodzonych i odznaczonych. Można obecnie stwierdzić, że dosłownie wszystkie powieści na konkursie tym wyróżnione (z wyjątkiem jednej, o której sam autor zawyrokował, iż nie chce jej publikować) ukazały się już drukiem i to nieraz dwukrotnie: pod postacią odcinków w dziennikach i w formie książek.

Pomińmy na razie utwory wydane przez Księgarnię Św. Wojciecha a przejdźmy kolejno wszystkie pozostałe. „Krzyśko Magnus" Eugenii Łukanin, drukowany był w Il. Kurierze Codziennym, po czym wydany przez S. A. Krzyżanowskiego w Krakowie. A nakładem „Książnicy - Atlas" ukazała się powieść kaszubska Wandy Brzeskiej „Sprawa gminy Ceynowy". Gustawa Morcinka „Wyorane kamienie" drukuje w odcinku „Kurier Warszawski". „Złamaną szablę" p. M. J. Jeleńskiej drukuje „Kurier Poznański". „Źródło wiecznie żywe" p. Marii Czeskiej - Mączyńskiej (pod zmienionym tytułem „Powieść o sercu kobiety") wzbudza na łamach „Przewodnika Katolickiego" niezwykle żywą reakcję czytelników.

O wydanych przez Księgarnię Św. Wojciecha powieściach Zofii Bohdanowiczowej „Droga do Daugiel" i Juliusza Znanieckiego „Michał" dwaj najznakomitsi krytycy współcześni Adam Grzymała - Siedlecki i Jan Lorentowicz wyrażają się jako o debiutach autorów niepospolicie utalentowanych. („W osobie p. Bohdanowiczowej powitać należy nowy, naprawdę żywy a pełen wdzięku talent" — pisze Siedlecki; a znów o Znanieckim wypowiada się Lorentowicz: „Jeden z najszczęśliwszych debiutów literackich w ostatnich latach. Nie dziwimy się, że p. Znaniecki otrzymał za „Michała" pierwszą nagrodę...").

Nie znalazł jednak uznania rezultat konkursu tego w oczach mniej znanej recenzentki tak zasłużonego „Przeglądu Powszechnego". „Księgarnia św. Wojciecha — pisze ta młoda zapewne pani — nie miała jakoś szczęścia ze swym konkursem jubileuszowym..." Księgarnia św. Wojciecha nie jest wymagająca: wystarczy jej świadomość, że właśnie żaden z ogłaszanych ostatnio konkursów literackich nie osiągnął tak pomyślnych rezultatów, iżby nawet wyróżnione tylko na nim utwory uzyskały chętnych wydawców i nakładców i oceny pochlebne krytyków jeszcze... kompetentniejszych niż recenzentka „Przeglądu Powszechnego".

Umieszczone w numerze tym wizerunki kilku pięknych zabytków wielkopolskich zaczerpnięte są z „Przewodnika po Wielkopolsce" prof. Jan Kilarskiego i wraz z kilkudziesięciu innymi widokami zdobiącymi to dziełko są reprodukcją zdjęć fotograficznych R. S. Ulatowskiego.

ROZMOWY Z CZYTELNIKAMI

Pani Maria T. w Kr. Owszem, właśnie staje się w myśl życzeń Pani: rubrykę „Autorzy mówią“ wprowadziliśmy jako stałą na łamy „Albertinum“. W obecnym numerze na zaproszenie nasze wypowiada się Wł. J. Grabski o stosunku autora do krytyki. Takie szczere, bezpretensjonalne, bezpośrednie wypowiedzi autorów zbliżą ich niewątpliwie do czytelników bardziej niż zbanalizowane wywiady, które — jak słusznie Pani zaznacza — mają w sobie coś sztucznego. Będziemy się też starali podawać podobizny autorów, choć może nie zawsze się to uda, bo są też pisarze niechętni publikowaniu swych konterfektów. „Moja twarz to ani dzieło sztuki, ani własność publiczna“ — odpowiedział nam pewien autor i nie dał się przekonać, że tak jak lubimy mieć wśród pamiątek fotografię miłych nam osób, podobnie czytelnicy pragną mieć i autograf i podobiznę ulubionego autora. A jeśli życzenie takie nie wypływa ze snobizmu, lecz ze szczerego uznania i sympatii, to na życzliwe zadośćuczynienie zasługuje.

Pani Klara D. w W. Książka Kisielewskiego w drugim wydaniu wyjdzie we wrześniu. Pod względem wyposażenia graficznego ulegnie drobnym tylko zmianom i to oczywiście „na lepsze“. Objętość pozostanie ta sama. Ci więc, którzy jak Pani „uważają się za pokrzywdzonych, że jej dostać nie mogą“, będą za opóźnienie w nabyciu do pewnego stopnia wynagrodzeni, gdyż otrzymają dzieło identyczne za cenę prawdopodobnie znacznie niższą. Prosimy więc jeszcze o kilka tygodni cierpliwości. Za tak życzliwe słowa — dziękujemy.

Pan Seweryn W. we Lw. Nie. „Jasne Książki“ obejmować będą beletrystykę w najszerszym znaczeniu tego słowa, więc obok powieści różnego typu, nowel i dramatów także podróże, pamiętniki, monografie artystyczne etc. Już w obecnym roku rozmaitość ta wyraźnie się zaznacza. Co zaś tyczy się poziomu, to nie można ich uważać za wydawnictwo popularne. Jest to raczej cykl książek przeznaczonych dla inteligencji. Taką miała być Biblioteka K. F. W. od początku i taką pozostaje. Nie wyklucza to możliwości i leży to nawet w planach naszej instytucji, że po utrwaleniu się Jasnych Książek, po zdobyciu dla nich już zupełnie pewnej egzystencji — do czego potrzeba nam jeszcze paru tysięcy odbiorców — przystąpimy do wydawania drugiego cyklu książek powieściowych na poziomie wydawnictw popularnych w skromniejszym wyposażeniu, ale jeszcze tańszych. Za obietnicę propagowania Jasnych Książek dziękujemy. Prosimy odczytać odpowiedź następną.

Pan Jan Kor... w Wilnie. Pisze Pan, że w pozyskiwaniu nowych zwolenników Jasnych Książek „argumentem nie ostatnim jest ich taniość wprost zadziwiająca“. Rzecz to najzupełniej zrozumiała, bo nasze sfery inteligentne, czy to księża, czy ziemiaństwo, czy wolne zawody, czy urzędnicy, zwłaszcza państwowi, nie są bynajmniej w położeniu materialnym równym przedwojennemu. Prosimy więc dla unaocznienia różnicy zestawić bardzo niewygórowane ceny katalogowe tych sześciu Jasnych Książek, bieżącego półrocza (złotych 27,50) z półroczną przedpłatą (zł 12) już z przesyłką. Pod wskazanymi adresami wyślemy prospekty i przekazy pocztowe. Najzupełniej wystarczy. Dziękujemy. Gdyby każdy z dotychczasowych odbiorców Jasnych książek pozyskał już nie tak jak Pan czterech abonentów, lecz po jednym tylko, moglibyśmy nie dwanaście rocznie, lecz czternaście, piętnaście i więcej książek rozesłać za tą samą opłatą.

Państwo W. Miel... w Br. Blankiety rozrachunkowe dołączymy do numeru sierpniowego. Wówczas też ustalimy sprawę abonamentu. Tymczasem prosimy odbierać nadal Albertinum bez żadnych skrupułów. Najważniejszą rzeczą jest, że Państwo korzystacie ze wskazówek i nabyliście już parę książek omówionych. To ważniejsze niż abonament. Za życzliwość — dzięki.

PRZEGLĄD CZASOPISM

PRZEWODNIK KATOLICKI

W numerach na maj „Przewodnika Katolickiego" znajdują się między innymi takie artykuły:

Orędzie Episkopatu Polski w dziejowej chwili. — Kapłan Promienisty — artykuł dotyczący życia, działalności i zgonu duchowego wodza Polaków w Niemczech, ks. dra Bolesława Domańskiego. — W „wolnej i niepodległej" Słowacji, felieton obrazujący życie narodu spod „protektoratu". — Jak żyje obecny papież Pius XII. — Szkoła - Apostoł, ciekawy list nauczyciela o stosunkach ludności Polesia. — Tragiczny los koszykarzy wołyńskich. — Kult Maryi wśród Kaszubów. — Reportaże z podróży do Rzymu. —

W dziale beletrystycznym — drukowała swą „Powieść o sercu kobiety" Maria Czeska - Mączyńska, — nowele kpt. pilot J. Meissner, M. Jasieńczyk - Jabłońska i i.

MŁODY PRZYRODNIK

Dziewiąty numer tego oryginalnego i doskonale redagowanego pisma przynosi takie tytuły: Zapylanie kwiatów — **Dr Z. Niklewski.** Świecące rośliny — **Dr J. Szaferowa.** Grzyb domowy czyli placzący — **Dr H. Szafranówna.** Jeszcze o gościach z dalekich mórz na targowiskach miasta — **Dr St. Jakubisiak.** Gość chiński zdobywa nasze wody — **Doc. Dr J. Brzóska** itd... Prenumerata roczna „Młodego Przyrodnika" 4 złote, półroczna 2.20. Prenumerata zbiorowa tańsza.

TĘCZA

Wszystkie niemal główne artykuły majowego numeru „Tęczy" dotyczą sytuacji międzynarodowej. Piszą: **Józef Kisielewski** — Trochę dłużej niż za rok (autor roztrząsa zagadnienie roli Polski w Europie Środkowej). **Kirył Sosnowski** — O Gdańsk bić się będziemy (artykuł historyczny). **Stanisław Palczewski** — Polska i Niemcy w Europie. **Adam Ulrich** — Wodzowie już raz oszukali naród niemiecki (jaki byłby pokój, gdyby go Niemcy dyktowały). **Bolesław Rudzki** — Czechosłowacja w okowach (rewelacyjny reportaż specjalnego wysłannika „Tęczy"). **Marian Turwid** — Złoto Dunikowskiego. **Adolf Nowaczyński** — Hiszpanie w Paryżu. **Mieczysław Tomaszewski** — Najpiękniejsze łowy (fascynujący film przyrodniczy, oparty na scenarium i niezwykłych zdjęciach młodego fotografa-amatora Włodzimierza Puchalskiego). **Maria Świętorzecka** — Polak odkrywcą saletry chilijskiej (Ignacy Domeyko).

W dziale „Przeglądy" na szczególną uwagę zasługują „Actualia massonica" **K. M. Morawskiego** (Masoneria w hitleryzmie; masońska modlitwa do szatana), oraz rewelacje o żydowskich aferach „Śledź i rowery".

MŁODY TECHNIK

Czasopismo poświęcone zajęciom praktycznym młodzieży szkolnej — omawia w 10 numerze następujące tematy: **L. Majewski** — Rozpinadło na motyle. **Inż. E. Habermann** — Matowanie metali. **L. Rudawski** — Kasety. **A. Zafrański** — Grzejnik elektryczny. **W. M.** — Futerał do aparatu fotograficznego. **J. Tryjarski** — Budujmy latawce. **M. Stroński** — Model latającej rakiety „Lad-Mir 13". Poradnik techniczny. W dziedzinie odzieży robotniczej potrzebne wynalazki.

ROBOTY KOBIECE: Mundur harcerski. — Torba i czapeczka na plażę. — Saszetka do drobiazgów. — Kącik praktyczny. Nadmieniamy, że z dotychczasowego „działu robót kobiecych", redagowanego w „Młodym Techniku", ma powstać odrębne czasopismo.

PARAMETR

Czasopismo poświęcone nauczaniu matematyki przynosi w 5—6 numerze artykuły tej treści: **M. Okołowicz** — Dzielenie przez ułamek. **S. Racinowski** — Zagadnienie „potrzeby" w nauczaniu arytmetyki z geometrią.

NOWA BIBLIOTEKA KAZNODZIEJSKA

Numer na czerwiec przynosi **kazania niedzielne:** Na niedzielę II po Świątkach: Zaproszenie na gody — **ks. Stefana Wojnarowskiego.** Na niedzielę III po Świątkach: Niewysłowione miłosierdzie Boże — **ks. mgra Henryka Weryńskiego.** Na niedzielę IV po Świątkach: O cierpieniu — **ks. mgra Wojciecha Kowalika.** Na niedzielę V po Świątkach: Prawość przede wszystkim! — **ks. Nikodema Cieszyńskiego.** Na niedzielę VI po Świątkach: „Kościół mi jeść nie da" — **ks. mgra Józefa Hetnała.**

Kazania świąteczne: Na uroczystość św. Jana Chrzciciela: Katolik a opinia ludzka — **ks. Michała Semko.** Na uroczystość św. Apostołów Piotra i Pawła: I. Nieomylność papieża — **ks. mgra Hetnała.** Na uroczystość św. Apostołów Piotra i Pawła: II. Christus vincit, Christus imperat — **ks. J. Raby T. J.**

Kazania katechizmowe: 19. Szatan — nieprzyjaciel Pana Boga — **ks. L. Bernacki.**

Kazania Społeczne: Własność prywatna — ks. Feliks Bodzianowski.

Kazania okolicznościowe: Na prymicje: I. Alter Christus — **ks. Mgr H. Weryński.** Na prymicje: II. Kapłan — drugim Chrystusem — **ks. mgr Tomasz Marszałek.**

Czasopismo wychodzi pod redakcją ks. prof. dr Jana Kicińskiego.

KSIĄŻKI OMÓWIONE W NUMERZE 3 »ALBERTINUM« WYDANE PRZEZ KSIĘGARNIĘ ŚW. WOJCIECHA

H. ADAMS	—	TAJEMNICA DOMU ZA BRAMĄ KRÓLOWEJ	ZŁ 3.—
H. ADAMS	—	USTA MOIRY	ZŁ 3.—
J. BANDROWSKI	—	ZOLOJKA	ZŁ 6.—
W. BIEŃKOWSKI	—	ICH DOM	ZŁ 5.—
Z. BOHDANOWICZOWA	—	DROGA DO DAUGIEL	ZŁ 4.—
W. BONSELS	—	MAREK W LESIE	ZŁ 5.—
K. BRONTE	—	DZIWNE LOSY JANE EYRE	ZŁ 7.—
K. G. CHESTERTON	—	NIEDOWIARSTWO KSIĘDZA BROWNA	ZŁ 4.—
O. J. CURWOOD	—	BARI, SYN STAREJ WILCZYCY	ZŁ 3.—
O. J. CURWOOD	—	ŁOWCY WILKÓW	ZŁ 3.—
O. J. CURWOOD	—	ŁOWCY ZŁOTA	ZŁ 4.—
O. J. CURWOOD	—	WŁADCY SKALNEJ DOLINY	ZŁ 4.—
P. DELSUC	—	KRYTYCZNA NOC W KERVIZELU	ZŁ 4.—
H. GLASS	—	NA SZLAKU CHUDEGO WILKA	ZŁ 4.—
WŁ. J. GRABSKI	—	KŁAMSTWO	ZŁ 5.—
WŁ. J. GRABSKI	—	NA KRAWĘDZI	ZŁ 5.—
WŁ. J. GRABSKI	—	W CIENIU KOLEGIATY	ZŁ 6,—
M. ISAAKOWA	—	POLKA W PUSZCZACH PARANY	ZŁ 5.—
J. KILARSKI	—	PRZEWODNIK PO WIELKOPOLSCE	ZŁ 4.—
KS. DR W. KLIMKIEWICZ	—	KARDYNAŁ MIECZYSŁAW LEDÓCHOWSKI	ZŁ 10.—
R. KNOX	—	CZYJA RĘKA?	ZŁ 3.—
E. KOBYLIŃSKA	—	WIELKI TYDZIEŃ	ZŁ 5.—
W. KORSAK	—	NA TROPIE PRZYRODY	ZŁ 3.—
R. KOSEŁA	—	SANDOMIERKA	ZŁ 3.50
Z. KOSSAK	—	BURSZTYNY	ZŁ 5.—
Z. KOSSAK	—	S. O. S.	ZŁ 2.50
Z. KOSSAK	—	Z MIŁOŚCI	ZŁ 2.50
R. LEIGHTON	—	KIDDI, DZIECIĘ OBOZU	ZŁ 4.50
C. i Z. MALARD	—	BÓG ŻYWY	ZŁ 3.50
W. MIŁASZEWSKA	—	CZARNA HAŃCZA	ZŁ 6.—
W. MIŁASZEWSKA	—	STARE KĄTY	ZŁ 4.50
W. MIŁASZEWSKA	—	ŚWIĘTY WIĄZ	ZŁ 6.—
W. i S. MIŁASZEWSCY	—	WSPOMINAMY	ZŁ 8.—
G. MORCINEK	—	NARODZINY SERCA	ZŁ 4.—
G. MORCINEK	—	GWIAZDY W STUDNI	ZŁ 5.—
M. POZIOMSKA	—	Z MOTYKĄ NA SŁOŃCE	ZŁ 5,—
J. STARZEŃCZYK	—	ZWYCIĘSKIE LILIE	ZŁ 6.—
B. STEINOWA	—	KAMIENNYM TOPOREM	ZŁ 5.—

ALBERTINUM, CZASOPISMO POSWIĘCONE KULTURZE CZYTELNICTWA, WYCHODZI CO 2 MIESIĄCE
REDAKTOR: MGR KIRYŁ SOSNOWSKI
WYDAWCA: DRUKARNIA I KSIĘGARNIA SW. WOJCIECHA SP. Z O. O., POZNAŃ. — TŁOCZONO W DRUKARNI SW. WOJCIECHA W POZNANIU, NA PAPIERZE Z WŁASNEJ FABRYKI „MALTA". PRENUMERATA ROCZNA ZŁ 1.20. KONTO POCZTOWEGO OBROTU ROZRACHUNKOWEGO POZNAŃ III, NR 026.